

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW





ZYGMUNT GLOGER

6)

(Garstka wspomnień osobistych w pierwszą rocznicę zgonu).

Ten ostatni, podówczas bibliotekarz księżnicy Zamoyskich, świątły bibliofil i starożytnik, częste o najnowszych zdobyczach archeologicznych przesyłał mu relacje. Obok tego badacz nasz w tym czasie zawiązuje stosunki z zacnym sybirakiem Aleks. Walickim¹⁾, z autorem adresu do cesarza Aleksandra II Ed. Stawiskim²⁾, uczonym Cypryanem Walewskim i Adamem Goltzem³⁾; bada osady krzemienne nad Niemnem i na Podlasiu, a Stefan z Opatówka pomnaża jego zbiory wykopaliskami z Popowa nad Wartą. Obietnice Szujskiego „wyściskania kochanego Zygmunta” w Jeżewie z powodu choroby żony nie dochodzą do skutku, natomiast odwiedzają go często liczni przyjaciele warszawscy, a z nimi od czasu do czasu zagląda również do Jeżewa świątły jego przewodnik, J. Nep. Leszczyński, po dawnemu nazywający w listach, barwnie i żywo przedstawiających życie ówczesnej stolicy, ex-pupila swego „Kochanym Zygmysiem...” Relacje zasłużonego K. Wł. Wóycickiego niemniej są ciekawe, w liście np. z 6 listopada 1873 donosi, że tylko co „zbankrutowany Z. Kaczkowski był w Warszawie, że sprzedał Ungrowi za 3400 rs. wszystkie swe powieści i że był u Estreichera z prośbą, aby mu dał spis jego prac, gdyż na śmierć zapomniał, co pisał!”

W trzydziestoleciu, poczynając się od r. 1870, swawolny los przerzucał nieustannie piszącego te słowa z miejsca na miejsce, nie pozwalając mu nigdzie a nigdzie zasiedzieć się długo. Że dzięki temu nie kieszenie się napychały ale teki, zbyteczne nadmieniać.

1) Wnuk słynnego szambelana Stanisława Augusta, bibliotekarz nieświeski, autor „*Błędów w mowie naszej*” etc.

2) Archeolog, uczony ziemianin, współredaktor „*Encykl. Rolniczej*”.

3) Świątły agronom i ekonomista, redaktor „*Gazety Rolniczej*”.

W rok niespełna po bytności z Glogerem w Wilnie stanąłem w czarodziejskich swą pięknnością okolicach srebrodajnego Olkusza. Gdzież bo szukać natchnienia, jeśli nie na tych skałach i ruinach. Patrząc na ten przepych na ziemi i niebie młodzieńcem, szeroko rozwartem okiem, czar mnie jakiś ogarniał i gorać wielką.

„I było mi w duszy polno,
I szeroko, wietrzno, wolno!...”

Litwo! smutna, tęskna, zadumana, miłując nad wszystko twych ludzi, pełnych serca, woli i rozumu z charakterem wykutym ze stali, ale gdyby mi Bóg w raju zamieszkiwać pozwolił, nie szukałbym go gdzieindziej, tylko na tej ziemi.

Tęsknicą przejęty szum lasów litewskich, a wśród nich cisza bezludna, kiedy niekiedy smutną przerywana pieśnią, o zadumę przyprowadza, odbierając ochotę, energię. Pamiętam, gdy w mej sadybie nadszcarskiej nieszczęścia na mnie spadały jako kruków stada, parę lat zdrętwiały, ogłuszony przefajczył przy kominie z książką... I siedziałbym Bóg wie jeszcze do jakiego czasu, gdyby nie zacny i kochany J. T. Hodi, który nagle jak z nieba spadł i zelektryzował mi duszę. Brylantowych z literaturą godów życzę Ci, jubilacie! Z pewnością, że na wesołej, pracy do czynu ziemicy krakowskiej nie potrzebowałbyś krzepić duszy swego wielbiela...

I znów rok szybko zbiegł w pracy, zatrudnieniu. W wąwozach stały śniegi, zefir na skałach Krockich zaczął wieczorami wygrywać cudnie jak Eol na ęrfie, do poko'ów dworu zdowskiego wciskała się gwałtem wionna rozkoszna wraz z całym bogactwem. Ale ani jej śpiewy, ani aromaty, ani nawet słońce złociste na niebie, nie sprawiły mi nigdy chyba większej radości, jak pewnego dnia oddawna oczekiwany list Glogera przyniesiony z poczty.



A ten tylko o przesadę mógłby mnie posądzić, kto nie ulegał nigdy słabościom przyjaźni nie poznał jej siły. Były atoli jeszcze inne przyczyny radości. Oto projekt wspólnej wycieczki po „Szwajcaryi Polskiej”, w zimie jeszcze powzięty a dla powodów tych i owych ciągle odkładany, miał się nareszcie urzeczywistnić za parę tygodni. List bowiem przynosił obok serdecznych pozdrowień termin przybycia pana Zygmunta ścisły i wyraźny.

Oczekiwanie może i byłoby stanem duszy błogim, gdyby radość snu z oczu nie spędzała, serce nie waliło młotem. Nadszedł wreszcie dzień upragniony, ziemia drżała, gdy m pędził na stacyę, na koniach wystąpiła piana. Gloger nie z tych był ludzi, co innych zawodzą. Nie umilkł świst, lokomotywy gdy, już oczy me spotkały się z jasnym jego spojrzeniem i tak zawsze pocziwie uśmiechniętą twarzą. Zadowolony był, serdeczny, urągał słabości ciała. Na przyjazd drogiego gościa konie radośnie w drodze nam prychały, a ozłocona hojnie słońcem wiosennem, świątecznie się jakoś przedstawiała cała okolica.

Jadąc, ułożyliśmy plan trzydniowych ze Zdowa wycieczek, więc: Bobolice, Mirów, Złoty Potok dnia pierwszego, nazajutrz: Kroczyce, Morsko, Rzędkowice, Włodowice, Siewierz i na ostatku: Skarzyce, źródła Warty, Kromolów, Ogrodzieniec i wreszcie Pilica.

Oznaki pogody były pewne, Tatry w dali wciąż nam majaczyły, a słońce za chmurę się schowawszy, błąkało się ostatnimi blaski po górach i skałach.

Nazajutrz, zaledwo rumiana zorza palić się zaczęła, już mój gość, ranny ptak, poruszył wszystkich, zakipiło we dworze. Nim śniadanie podano, zaczęliśmy dzień od zwiedzenia pokoju, w którym, zapadłszy w te góry na miesiąc bez mała, często po trudach spoczywał słynny wódz Chmieliński.

Obecnie z dworu zdowskiego śladu nie zostało, doszczętnie bowiem spłonął w ósmym dziesiątku w. ub., a z nim niestety i biblioteka moja, przed wyjazdem na wojnę na strychu złożona. Staruszka zewsząd otaczały wyniosłe modrzewie, zdobiąc go o wiosnie zielonością nikłą jak marzenie...

Wnet potem witaliśmy wschód słońca z Glogerem ze skały za dworem. Zadziwiają potęgą barw i tonów wspaniałe efekty o wschodzie i zachodzie słońca. Wszystkie barwy tęczy

i najdroższych kamieni grają zwykle na niebie, gdy służy pogoda. Zachwycać się czemś podobnem można chyba w Pieninach, Tatrach i Karpatach.

Z pod skały, na której staliśmy, bije obfite źródło, tworząc staw, w którym w wielkiej ilości przebywają pstrągi. Temperatura wody tak jest w nim niska, że nawet w upał największy kilkuminutowa kąpiel sprawia orzeźwienie.

Pokrzepiwszy nieco siły, puściliśmy się do pobliskich Bobolic. Stach, furman zawołał, powoził.

Za wsią wyjechaliśmy na drogę wyjątkowo gładką, konie czeszą, aż się pył unosi, a w dali, na tle zieleni, bielą się ruiny Bobolic, jak mlekiem oblane.

„Bogdaj to tak jeździć, czleku,
Jak jeździli ludzie z wieku,
Wozem, końmi, a nie piecem...”

Na prawo od drogi mieliśmy B o r o w i e c. Nazwę tę nosi wążka a wiorstę długa dolina, łącząca Bobolice ze Zdowem. W najniższej jej części od Zdowa, występuje zjawisko, o którym bodaj dotąd nikt jeszcze nie pisał. Oto jak najperyodyczniej co lat siedem wytryskują tu źródła tak obficie, że wnet się tworzy staw wielki, głęboki i po latach kilku nieźle zarybiony. I znów gdy okres siedmioletni ma się ku schyłkowi, naraz krynice schną, woda znika, stawisko idzie pod plug i wkrótce rosną na jego żyznej ziemi przepiękne warzywa. Czy i dziś po latach czterdziestu wciąż się to powtarza, warto byłoby na miejscu zasięgnąć języka.

Mylilby się, ktoby sądził z powyższego, że miejscowości zwiedzane w tych wycieczkach myślę opisywać. Wyjątek będzie wprawdzie, ale dla mniej znanych; pamiętać bowiem proszę, że są to wrażenia, zdarzenia i wspomnienia o ludziach i faktach, poza tem nic więcej.

Wkrótce staliśmy już na szczycie śpiczastej skały, na której sterczy, wyniosłe dominując nad całą okolicą, zamek bobolicki. Wejście od strony północnej nie jest utrudnione. Widok, jaki się stąd roztacza, nie do opisaniania! Jak na karcie geograficznej setki wsi, miast, miasteczek co najmniej sześć — siedem mil dokoła bieleją, złoćą się lub też czerwienieją.



I oto widzisz...

...,kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół,
Różnowzorowym kryty kobiercem
Na nim chleb biały i sól i miód”...

Zaiste, czarodziejska swą pięknnością, romantyczna ziemia!

Już mieliśmy opuszczać sędziwe ruiny, gdy przedstawił nam się widok, poruszający wszystkie nerwy. Oto wnuk najbliższego sąsiada zamczyska, Baryły, sympatyczny i śmiały podrostek, przystawiwszy drabinę, zaopatrzonej w przyrządy bartnicze, przebiegł jej szczeble, a wdrapawszy się ze zręcznością wiewiórki na najwyższą krawędź muru, spuścił się po wystających głazach prostopadłej ściany do otworu jakiegoś, w którym osiadł rój pszczół, będący tego karkołomnegoprzedsięwzięcia jedynym celem.

Po kwadransie, przez który nam patrzącym dech się zaparł w piersiach, śmiały ów Barylak z elastycznością, której mógłby mu pozazdrościć góral zakopiański, jak najczęściej spuścił się na dół wraz ze swoją zdobyczą.

Dzied tego śmiałka, żołnierz Dwernickie-

go, kmieć przez wszystkich poważany, mieszkał w chacie, tuż pod zamkiem położonej, a obok w kuźni, z głazów i kamieni po obozowemu skłonej, dorywczo od zajęć rolniczych trudnił się kowalstwem. Napróżno łamałby sobie ktoś głowę, zgadując, z jakiego materiału nasz wiarus wyrabiał gwoździe, ufnale, lonki i t. p. inne drobne rzeczy... Naturalnie z żelaza, ale pod postacią beltów czyli zakończeń strzał, w ilości niezliczonej na podzamczu corocznie wyorywanych.

TYPY LUDOWE



FELIKS ZAWIŚLAK Z ŻURAWIA
(pow. krasnostawski)

fof. ks. St. Samorek

Starzec, gdyśmy do jego kuźni zaszli, wybrał z pod horna przygarście co lepszych tatarskich strzali na pamiątkę zwiedzenia zamku obdarzył niemi Glogera. Przysiedliśmy pod kuźnią z wiarusem lubiącym gawędzić; co wiedział, opowiedział nam o zamku, potem o dziedzicach okolicznych, o tem, co słyszał i widział.¹⁾

Wiele się z tych rzeczy zapisało, innych po latach czterdziestu powtórzyć nie sposób. Głęboko tylko zakarbował mi się w pamięci rys wysoce charakterystyczny tutejszego chłopca.

M. Federowski.

L. C. N.

¹⁾ Podania dotyczące Bobolic i Mirowa, skesłone przez niżej podpisanego, w. 1874 (a być może piątym) w kilku odcinkach zamieściła „Gazeta Kielecka”





Kilka spostrzeżeń nad termiką wód Tatr i Podhala.

2)

Nie należy przytem zapominać, że to wszystko stosuje się tylko do okresu pełnego lata.

Przedewszystkiem należy jednak jeszcze wiele obserwować i pilnie zbierać materyały, aby uzyskać w tej mierze pewną podstawę poznania. Praca ta jest dostępną dla każdego!

Z dziedzin turni schodzę na Podhale. W Poroninie przy moście szosowym nad Poroncem spędziłem z rodziną ubiegłe lato. W pobliżu mego latowiska płynął u stóp Łasiówki potok Zakopianka, łącząca się opodal z Poroncem. Ponętne to miejsce do pomiaru temperatury wód górskich skłoniło mię do przeprowadzenia systematycznych obserwacji, prowadziłem je też stale co najmniej trzy aż do sześciu razy dziennie z wyjątkiem dni poświęconych kilkodniowym wycieczkom; podczas mej nieobecności nie dopuszczałem obserwacji zastępczych, wychodząc z założenia, że najważniejsze

źródło błędów leży w niejednorodności materyału, spowodowanej indywidualnymi właściwościami każdego obserwatora.

Obserwacje moje w Poroninie są, ile mi wiadomo, pierwsze tego rodzaju na ziemiach polskich, i ten wzgląd, jak niemniej kilka nowych wniosków w kwestyi klimatologii rzek, wynikających z moich obserwacji, skłania mię do poświęcenia im tego szkicu.

Temperatura wody, ciała o znacznie wyższym cieple właściwym od powietrza, odznacza się na ogół spóźnieniem krańców temperatury, zarówno najniższej jak i najwyższej, przy równoczesnym znacznym osłabieniu wahań temperatury. Ze 103 wogóle dokonanych obserwacji

mogę obliczyć temperaturę średnią miesiąca sierpnia ubiegłego. Średniej temperaturze powietrza 17,1 stop. odpowiadała temperatura wody Poronca 14,8 stop., a Zakopianki 12,4 stop.. W świetle tych cyfr występują te rzeki jako typowe wody górskie, znacznie od powietrza zimniejsze. Równie, a bodaj jeszcze więcej zainteresowania budzą krańce temperatury. Przeciętna najwyższa temperatura powietrza wynosiła 21°, 4 wody Poronca 17°, 6, Zakopianki 15°, 9, a występowała z reguły w godzinach popołudniowych. Najniższa temperatura powietrza występowała na ogół już w godzinach

TYPY LUDOWE.



fol. ks. Samorek

STAŚ OLECH Z GAJU
(pow. zamoyski)

wieczornych, wody niemal z reguły w godzinach rannych. Nie wątpię wprawdzie, że bardzo wczesne godziny ranne wykazują także niższą temperaturę powietrza aniżeli wieczorne, mam nawet na to dowody z obserwacji, pozostaje wszakże cechą znamionną klimatu górskiego, że temperatury powietrza już podczas zachodu słońca są niższe od temperatur w czasie między 7 a 8 godziną rano. Wieczne minimum tempera-



tury powietrza wynosiło 14,0 stop., ranne zaś minimum Porońca 12,1, Zakopianki tylko 9,7 stopni. Z powodu tego opóźniania się terminu w którym temperatura wody osiąga swój stan najniższy, jest temperatura wody Porońca w wieczornych godzinach blisko o cały stopień wyższa od temperatury powietrza, a temperatura Zakopianki cały dzień niższa od temperatury powietrza o 5—6°, jest wieczór tylko o 2° chłodniejsza.

Opóźniony ruch temperatury wody, stwierdzony na rzekach Poronina, jest jak wspomniałem, powszechną wszystkich wód właściwością. Z dotychczasowego wszakże już rozważania wynika pewna cecha tych wód, dotychczas u nas nieznaną i ani przez Forstera ani przez Pawłowskiego nie przewidywaną. Sądzono mianowicie powszechnie, że średnie dzienne wahania temperatury wód płynących w umiarkowanym klimacie europejskim nie przekraczają, jak sądził Forster, 2 stopni, dochodzą w miesiącu sierpniu w kontynentalnym Serecie do 2,5 st. jak stwierdził Pawłowski. Wahania dzienne temperatury powietrza są w podolskim Tarnopolu cztery razy większe od wahań temperatury podolskiej wody, natomiast w górskim Poroninie wahania powietrza wynoszą tylko 7,4 stop., ale woda Porońca wykazuje średnie wahania temperatury 5,5 stop., a woda Zakopianki 6,2 st. Ilości te, jakkolwiek wyprowadzone tylko z jednomiesięcznej obserwacji nie są jednak według wszelkiego prawdopodobieństwa przypadkowe. Wszak w ciągu dwuletniego okresu obserwacyjnego temperatury wody Seretu zdarzyły się wahania dzienne temperatury przenoszące 5 stop. tylko dziewięć razy, w Porońcu i Zakopiance występowały one w każdy dzień pogodny, kilka razy przekraczały 7 stop., a nawet 8°. Jednym słowem, wysokie wahania temperatury są szczególną właściwością wód górskich, dotychczas nie poznaną, ponieważ badania te ograniczono tylko do rzek większych, do rzek spławnych.

Źródło silnych wahań temperatury wód górskich leży prawdopodobnie w wielkiej przejrzystości tych wód. Promienie słoneczne przechodzą przez krystaliczną wodę potoków górskich podobnie jak przez powietrze, ogrzewają leżące na dnie głazy, od których drogą przewodnictwa ogrzewa się woda. Wieczorem i w nocy następuje proces odwrócony. Głazy oddają

swą ciepłotę w ochłodzone przestworza i pośrednio oziębiają wodę. Woda przepuszcza jednak świetlne promienie ciepła łatwiej aniżeli ciemne, i dlatego dzienny proces nagrzewania odbywa się w wodzie prędzej, aniżeli proces oziębiania nocnego. Tak więc czyste wody górskie posiadają właściwość, wspólną wszystkim ciałom o wysokim cieple właściwym, w stopniu najmniejszym; ogrzewają się i oziębiają podobnie jak powietrze, w którym ruch temperatury odzwierciadla stosunki swego podłoża: skały, gleby czy lasu. Im woda górską jest bardziej czysta, tem wahania jej temperatury są silniejsze, tem bardziej są podobne do ruchu temperatury powietrza. Zanim uzasadnię powyższy wywód obserwacją rzek Poronina, muszę wpieryw zaznaczyć, że nie wszystkie rzeki zdają się temu prawu podlegać. Oto nieliczne poszlaki.

W pogodny, słoneczny dzień, 20 sierpnia szedłem Roztoką ku Pięciu Polskim Stawom. Temperatura powietrza spadła od Wodogrzmotów Mickiewicza (godzina 2 po p.) do Wielkiego Stawu (godz. 4 po p.) z 17 stopni na 12,8. Temu silnemu spadkowi temperatury powietrza towarzyszył minimalny spadek temperatury wody: z 9,8 stop. na dole do 8,0 stop. na górze. Ponieważ różnica wysokości tych dwu punktów wynosi blisko 550 m., a spadkowi wód z tej wysokości odpowiada mechaniczne ogrzanie dochodzące półtora stopnia, stąd wniosek, że wody Roztoki mimo swej krystalicznej czystości i mimo słonecznej pogody na całej swej drodze do Wodogrzmotów zaledwie o pół stopnia się ogrzały. Do tego samego wniosku prowadzi kilka spostrzeżeń w dolinie Białej Wody, czynionych podczas słonecznego popołudn. 28 sierpnia. Temperatura wody koło gajowni pod Wysoką (godz. 3 min. 10), potoku od Rówienek (godz. 3 min. 40), wyżej ujścia potoku Rybiego (godz. 4 min. 20), wreszcie pod mostem na Łysej Polanie (godz. 5 min. 30) wynosiła niezmiennie 8,9 stopni, obniżała się więc ostatecznie, jeśli zważywszy, że spadek wód o 350 m. powodował równoczesne mechaniczne podwyższenie temperatury o 1 st. Spadek temperatury górskich wód, płynących od biegu górnego ku dolnemu, zdaje się też wynikać z kilku luźnych pomiarów wody Białki w Jurgowie i w Brzegach; naturalnie, może tu być mowa tylko o spadku najwyższych, popołudniowych temperatur wody, a zjawisko to



tlómaczę sobie w sposób następujący: wody dziedzin turniowych ogrzewają się najsilniej na dnie swych górnych piętér skalnych dzięki niezwykle silnej insolacji, której rozmiary kilku przykładami powyżej ilustrowałem. Z górnych swych piętér spływają wody po potężnych progach, kilkaset metrów wysokich w dziedzinę regli; spadając z tej wysokości ogrzewają się jeszcze mechanicznie o prawie jeden stopień. W dziedzinie regli jednak i insolacja słabnie, zacienienie rośnie, a wody płyną tak szybko, że ogrzewanie drogą przewodnictwa od cieplej-

szego powietrza jest znikome, dopływające zaś strugi leśne i źródlane mają temperaturę niższą i wpływają na spadek temperatury wód rzeki głównej.

Stosunki ulegają zmianie dopiero później poniżej dziedziny reglowej, w obszarach, w których rolniczo usposobniony góral nawet ryniska poddał pod uprawę, a w których spływ wód płynących znacznie zwolnił. Wody Poronina demonstrują ten typ doskonale.

C. D. N.

Eug. Romer.



KRAJOBRAZ.

Natura była zawsze i wszędzie pramatką formy: od niej brał wzory człowiek — ona to przede wszystkim wpływała na kształtowanie się pojęć we wszelkiej sztuce. Pierwiastki stylów mają swoje korzenie głęboko w ziemi, podobnie jak drzewa.

Ten nieustanny a przemożny szept ziemi i wyraz jej oblicza panowały zawsze nad całym światem formy danego plemienia, rasy czy szczepu. Przesuwanie się plemion, łączenie cech przyrodniczych osiedli poprzednich z następnymi wytwarzało nowe formy, nowe style — nową sztukę. Podłożem tej sztuki, kluczem do jej formy, jej ideą przewodnią był zawsze wizerunek ziemi: krajobraz.

Na krajobrazie opierała się i winna opierać się architektura ze swymi budowlami, wszelka kostyumologia plemienna i zasadnicze również właściwości kolorytu, jako barwy i rysunku, jako formy.

Chcąc wybadać należycie, na czym polega najbardziej cenna swoistość naszego świata twórczego — winniśmy zgromadzić, zanalizować i opracować wszechstronnie pejzaż polski, jako najkonieczniejszą i bezwzględnie czystą podstawę sztuki.

Widzieliśmy niedawno na wielkiej wystawie krajoznawczej, jak zasadniczo i bezwzględnie wpływa krajobraz na estetykę ludową, i widzieliśmy wtenczas sztukę prostą niezmiernie, nieraz pełną naiwnej barbary, ale zespoloną z ziemią o wiele silniej i bardziej bezpośrednio niż wszelka inna, na wyżynach artystycznych tworzona. Sztuka ta urodziła się i wzrastała wśród pejzażu i pod nieustannym jego — że się tak wyrażę — nadzorem i pieczą. Dlatego było w niej tyle łączności z charakterem ziemi, tyle zadatków koloru i formy, któ-

re przemawiały do wszystkich, ktokolwiek czuł w sobie płynącą krew swego plemienia. Był to blysk — odwinięcie barwy wspaniałej i bogatej; widziało się, że tajemnica zdobycia stylu leży w zespoleniu z naturą ziemi. Sztuka ludowa tworzy się żywiołowo — chłop rzadko widzi pejzaż, który go otacza: nie filozofuje i nie szuka mozolnie — nieustanne życie z ziemią nauczyło go krajobrazu na pamięć, przesycało go nim nawskroś — uczyniło żeń coś tak koniecznego i naturalnego, jak powietrze, którem oddychać trzeba.

Niepodobna, ażeby do takiego stanu, mógł dojść artysta, pragnący malować krajobraz lub budować styl, oparty na pejzażu polskim. Ale to, do czego chłop dochodzi bezwiednie za cenę całego życia swego i swoich ojców — można zdobywać powoli, drogą wprost naturalnego badania.

Trzeba krajobraz polski poznać wszechstronnie, gruntownie i tak dobrze, jakby go się niemal na pamięć umiało. Badania tego rodzaju muszą być nader urozmaicone, nie dość bowiem poznać okolice górzyste i płaszczyny — lasy i pustkowia; — świat ten można badać i poznawać, dzieląc rodzimą przyrodę i jej sprawy na dziedziny, z których każda sama przez się już może wystarczyć na całe życie studyów i niewypowiedzianie ciekawej pracy. Taka np. dziedzina pór roku: wiosny, lata, jesieni i zimy w stosunku do danej okolicy — już stanowi zadanie ogromne i wspaniałe — a dziedzina lasów, królestwo wody, historie łąk czy strumieni — mało zauważona sprawa sylwet na horyzoncie, wszystko to jest materialem przebogatym, nadzwyczajnie jeszcze nowym i potrzebnym.

To, co w sztuce naszej w tej mierze istnieje, dało tylko oderwane fragmenty — nie ustaliło typu i nie wytworzyło symbolu.

Wiedział dobrze Wyspiański, gdzie iść na-



leży, kiedy projektując kostyminy do swego dramatu „Bolesław Śmiały” stroił aktorów w fantastyczne świty i pasy. W pomysłach tym była mądra a konieczna tęsknota za praźródłem rzeczywistości — słowiańskim, na którym jedynie sztuka polska całą duszą oprzeć się powinna. Gdzież pierwiastki i prawzory?

W lasach, wśród sosen starych — w skałach olkuskich, w turniach Tatr — w całej florzach rodzimej — w krajobrazie, którego oblicze najwięcej ma tych lat odległych pamięci.

Co uczynią potem artyści, jaki zwrot powieźmie sztuka — na razie nie naszą jest rzeczą: należy przygotować materiał, zgromadzić olbrzymią ilość źródeł, rozklasyfikować je, opracować — wydawać, jak słownik, jak encyklopedyę wszystko, co się składa na całość „krajobrazu polskiego”, układając osobne działy: o drzewach, o istocie lasów danej okolicy — o wodach, o przestrzeniach z lotu ptaka widzianych, (jakich pełno w górzystym

Kieleckim), o sylwecie horyzontu — o łąkach i roślinach wodnych, o florzach naszych łąk — o roślinach skalnych, o drogach oraz ich rysunku; — o polach — o samych „gruszach polnych” można by utworzyć arcyciekawą monografię. Wtenczas dopiero badania osiedli ludzkich t. j. chaty — i samego człowieka, jako typu, kostyumu, obyczajów etc., zakwitłyby i zapłonęły barwą życia silną i pełną, miałyby bowiem poza sobą zawsze jednolite i zbadane już tło: p e j z a ż.

Dotąd, jeżeli zwracano się ku ziemi, to w znaczeniu naukowym, ale nie jedynie estetycznym: należy właśnie rozpatrzyć owo powszechne i nieprzeczerpane podłoże li tylko ze stanowiska sztuki i jej własnym, czystym a bystrem okiem. Ziemia ta pełna jest krasy: a są w niej kolory i wielka moc form; — poznać je i wyprowadzić z nich promienną postać piękna — cóż za zaszczytne zadanie!

Antoni Gawiński.



Z GALERYI TYPÓW I ORYGINAŁÓW LITEWSKICH

Archeolog zagrodowy Imię Pan Wińcza.

Nigdzie chyba na Litwie niema takiego zatrudnienia zaścianków jak w Sluczyźnie i w okolicach Oszmiany i Lidy. Wszędzie tu od szlachty zagrodowej aż się roi, a kościoły i zajazdy na kiermaszach i festach (odpuściach) bywają przez nią całkiem przepełnione. Ludzie to prości, gościnni, pracowici i do wiary rz.-katolickiej gorąco przywiązani.

Najwięcej okolic¹⁾ w ziemi lidzkiej, w parafiach: zabłockiej, ejszyskiej, raduńskiej i lidzkiej. Są tu nawet całe wsie zamieszkałe przez liczne rodziny jednego nazwiska, jak: Bołtuciów, Czaplów, Wilkańców, Rekściów, Wińczów etc. W takich razach przezwiska tylko ludzi od ludzi odróżniają.

Członkiem właśnie tak rozrodzonej rodziny był domorosły starożytnik, ś. p. Adam Wińcza, o którym słów tu kilka mam zamiar napisać. Wprawdzie osobiście tego *sui generis* archeologa na oczy nigdy nie widziałem, ale tak mi go żywo i obrazowo przedstawił mój wymowny, żyjący jeszcze gdzieś w Bobrujszczyźnie ex-sąsiad Maciesza, że bez latania i żadnej trudności,

podać mogę nietylko konterfekt jego fizyczny, ale i duchowy.

Wychowaniec światłych pijarów, Wińcza, wiek cały przepędził w stanie bezżennym. Za młodu był pisarzem ekonomii dereczyńskiej, ale po skonfiskowaniu tych dóbr ks. Fr. Sapieżę, służył jako urzędnik gospodarski po dworach szlacheckich.

Na starość (mniej więcej około 1860) osiadł w swym rodzinnym zaścianku, we w. Jelnie, położonej między Kamionką a Szczuczynem lit. przy trakcie grodzieńskim. Był to szlachcic wzrostu słusznego, niezłej budowy, prosto się trzymający, o ruchach poważnych. Nad twarzą podługowatą, barwy niemal ceglastej, wznosiła się czupryna mocno szpakowata; oczy miał głęboko osadzone, czoło wysokie, wąs przystrzyżony, nos prosty i wogóle profil regularny. Nosił zwykle kapotę z potrzebami samodziałową, latem długi płótniak, kapelusz słomkowy. Halsztuk czarny na szyi, w rękę tabakiera, chustka kraciata i laska czeczotkowa dopełniały stroju. Był to człowiek rozumny, sąd miał wytrawny, wymowę jasną, posiadał przytem sporo wiadomości i „znał się na ziołach”. Przy ścisłym spełnianiu praktyk religijnych był uczynny, towarzystwa nie unikał, sąsiadem był wzorowym. Miał jednak swoje przyzwyczajenia, dziwactwa i w całym postępowaniu coś tajem-

1) Zwykła na Litwie nazwa wsi szlacheckiej.



mniczego. Latem, zimą głowy nigdy nie nakrywał jak o stałę za domem; do kościoła tylko piechotą chodził, za grzech uważając jazdę. Idąc, trzymał się zawsze strony lewej, nie bacząc na największe błoto; w żaden piątek nikt go nie zobaczył, zamykał się na głucho. Obok tego—ognia z chaty, naczynia, z którego pijał, i książki, a miał ich cały kufer, nie dawał nikomu. Miał leciwą babę, niemowę, co mu jadło przyrządzała, konia bułana, psa-k r u c z k a i krowę. Rok w rok, na przedwiośni, razem z przylotem bocianów, bułana do kałamaszki założywszy, znikał ludziom na całe tygodnie. Sąsiedzi mieli dlań respekt, tem większy, że, potarlszy siedmiokroć czoło, w przepowiadaniu rzadko kiedy chybiał. Wzrok miał bardzo przenikliwy. Tryb życia prowadził jednostajny. Żrana, opatrzywszy dobytek, porządkował swoje skarby, rupiecie, poczem przy oknie czytywał żywoty świętych pańskich, Naruszewicza, „Dzieje” Plutarcha. Spożywszy obiad, obchodził zwykle bliższe i dalsze zaścianki, czapkę schowawszy do kieszeni, młodszym radził, dziatki uczył, ze starszymi o minionem gwarzył.

Chata Wińczy była całkiem odosobniona, gdyż zaścianek jego był na końcu wsi, opodał od innych. Składała się ze świetlicy o ceglanej posadzce, z alkierza i piekarni z glinianym tokiem i kominem. W tej ostatniej mieszkała niemka, jego gospodyni. W alkierzu, w którym pan Adam sypiał, znajdowały się jego lary-penaty pod postacią kilku obrazów świętych pańskich znośnego pędzla, oraz skarby jego ukochane — zbiory. Wszedłszy tu, miałś wrazenie, że jesteś w magnackiej zbrojowni, wszystkie bowiem ściany gęsto obwieszzone były ryzsztunkiem wojackim. Nad łóżkiem wisiały liczne z wizerunkiem Matki Boskiej ryngrafy, obok na lewo i na prawo dokoła: helmy, pancerze, koszulki żelazne, szable, miecze, kołczany, tarcze trzciniowe, dzidy, rusznice, krucice... Dwie szafki oszklone, stojące w rogach przeciwległych izby, mieściły drobniejsze rzeczy wojskowe, jak: znaki, ordery, pasy, ładownice, szlify, obszlegi etc. W nich również znajdować się miało mnóstwo okazów z epoki kamiennej i brązowej, urny i wogóle wykopaliska.

W owych szczęśliwych dla archeologów czasach, w zaściankowych lamusach i świrnach sporo było tego rodzaju rzeczy po pradziadach. Że się kury i gęsi nosły w szyszakach, pancerzach, Mickiewicz mówi prawdę, na włos nie przesadza. Na własne oczy widziałem zagrodowców przerabiających serpentyny na strugi, ośniki,

jak niemniej w Mińszczyźnie właścicielkę dworku—rąbiącą cukier... osadzonym na trzonku toporem kamiennym!¹⁾

Wszystkie zabytki, wchodzące w skład zbioru Wińczy, z tego samego pochodziły źródła. Zasobny w uciulane na służbach grosiwo quasi nasz archeolog od wielu lat skupywał je w bliższych i dalszych zaściankach. Wyszukiwanie tych przedmiotów, wyrażając się po dzisiejszemu, było sportem najulubieńszym p. Wińczy. W zbrojowni swojej starzec część większą schyłku życia spędził; pieścił się z bronią i zbroją, ustawiał, wieszał, czyścił i okurzał. Pasyami swe skarby prezentować lubił, tłumaczyć, objaśniać, a byle go ktoś o co zapytał, słów, nie żałował, w humorze był złotym.

Skąd pohop do starożytnictwa w sercu Wińczy powstał, wieczną pozostanie chyba tajemnicą. Być może wrazenie, odniesione z widoku słynnej w Dereczynie zbrojowni książęcej dało ten asumpt niezwykły i zamilowanie. „Tam duch tchnie, gdzie chcel!” — jak mówi poeta.

Jak ta zbrojownia przy samym trakcie przetrwać mogła rok 63-ci, to tylko Bogu wiadomo jednemu. Fakt faktem jednak, że istnym cudem zbiór Wińczy ocalał i że go złe oko nawet nie widziało. „Dalibóg, stary c z m u ł na oczy puścił;—szeptano po zaściankach — W i a d o m o, a c ó z b y?...”

Mniej więcej około roku 1870 zaściankowego starożytnika apel powołał niebieski.

Co się ze zbiorem jego stało, nic mi nie wiadomo; objaśnień nie mógł mi nawet udzielić wszytkowiedzący p. L. Maciesza, wyjechał bowiem z lidzkich stron, gdy Wińcza żył jeszcze.

M. Federowski.

¹⁾ Niema się co tak bardzo dziwić szlachcie zagrodowej, kiedy i po niektórych dworach obywatelskich rzeczy podobne niemniej profanowano. Jedyna pociecha pewnej rodziny w Słonimskiem, rozswoliwszy się z rówieśnikami z pod strzechy w sadzie gdzieś czy na wygonie, zgubił za jednym zamachem pas i ładownicę dziada pułkownika, a niebardo znów dawno w nowogrodzkich kątach na strych po świętach Bożego Narodzenia wyrzucono choinkę suto przybraną „w świecidła jakieś”, wyjęte z pudła pradziada jenerała. „Świecidła owe”, jak się ku zdumieniu wszystkich wkrótce okazało, były to ordery i znaki masonskie, tylko że już z drzewka znikły, bo je służba zabrała. Mimo to, wnet się „z pieca na łeb” poprawiono, bo żeby gankowi „było do twarzy” obstawiono go urnami, a jedną z tych „makotr”, oddano do użytku swemu kucharzowi. (Ob. Ziemia r. 1910, nr. 1).



Z KOLONII POLSKICH W PARANIE.

1)

Czytelnikom „Ziemi” zapewne wiadomo, iż rząd federalny w Rio Janeiro nie zaniechał bynajmniej działalności kolonizacyjnej, przeciwnie, opiekując się przybyszami, opłaca kompaniom okrętowym koszty ich przewozu przez morze, przyjmuje przyjezdnych do baraków emigranckich, urządzonych z niezwykłym przepychem na Wyspie Kwiatów w zatoce Rio de Janeiro (betonowe podłogi, kafłowe ściany, łóżka ze sprężynowymi materacami, prysznic, parowa pralnia etc.), i stąd odstawia własnym kosztem i żywiąc po drodze emigrantów wraz z wszelkimi bagażami, bez ograniczenia ilości, aż do miejsc obranych; wreszcie osiedla rodziny rolników na odmierzonych działkach, posiadających zwykle już wybudowane chatki.

Lwią część emigrantów stanowią polacy i rusini, gdyż emigracja do Parany z Galicyi i częściowo z Kongresówki nie ustaje. Wśród przybyszów widzimy obok rusinów i mazurów z zaboru

austriackiego, lubliniaków i podlasiaków, a dalej rusinów i polaków z Podola, Ukrainy, nawet rosyjan z gubernii chersońskiej. Spotykamy też i niesłowian: pomimo ustawicznie powtarzającego się niepowodzenia nie pozbyto się tu jeszcze nadziei utworzenia z Niemców, Holendrów i Szwajcarów kolonii o wyższym poziomie kulturalnym; przybyszą więc, lecz po to tylko, ażeby po pewnym czasie wędrować z powrotem, klnąc, na czem świat stoi, Brazylię.

Protegując tych niewdzięczników, komisja kolonizacyjna wyznaczyła dla nich kolonie z komunikacją lepszą i lepszymi widokami na przyszłość, jak Alfonso Penna pod Kurytybą, Iraty obok stacji tejże nazwy. Słowian zaś, zwanych tu pospolicie Polakami (ostatnio nazwę tę stosują wogóle do kolonistów) osiedlano na koloniach Iva-



KOLONIA VERA GUARANY. ZAGRODA KOLONISTY

fol. T. Chrostowski.



KOLONIA VERA GUARANY. KOLONIŚCI PRZY BUŁOWIE DRODZI

fol. T. Chrostowski



fol. T. Chrostowski KOLEJ ŻELAZNA ST. PAULO RIO GRANDE

hy (dawniejsza nazwa Miguel Calmon), oraz Vera Guarany (poprzednio Candido de Abreu).

Autor niniejszego artykułu po przebyciu około roku na kolonii Vera Guarany w charakterze kolonisty zwiedził kolejno powstałe lub powstające kolonie: Ivahy, Iraty i teren na projektowaną najnowszą kolonię „Cruz Machado” w pobliżu stacji Marechal Mallet. Surowe życie osadnika, własnoręczna praca, oraz znoszenie wszelkich męczot i dolegliwości nieuniknionych dla kolonisty pozwoliły mu przy ocenie spotykanych zjawisk stanąć na zupełnie odmiennym stanowisku od innych korespondentów, gdyż

wspomniane warunki dały mu możliwość, nie zważając się ludzącymi pozorami, docierać do treści rzeczy.

Kolonja Vera Guarany leży nad rzeką Iguassu pomiędzy jej dopływami Rio Claro, stanowiącą granicę między starą kolonią tejże nazwy a Vera Guarany, oraz Santa Anna, oddzielającą tę kolonię od posiadłości prywatnych, zwanych Chapeo de Sol. Po drugiej stronie Iguassu leżą tereny sporne, ostatnio wcielone do stanu Santa Catharina. Jednym ze swych wylotów kolonia przylega do linii kolejowej — São Paulo Rio Grande — stacja Paulo Frontin. Działalność komisji kolonizacyjnej rozpoczęta tu w r. 1908 obecnie jest na ukończeniu. Osiedlono tu przeszło 600 rodzin (rusini stanowią prawie 70%), i do rozdania pozostało już niewiele działek; większość dróg i mostów — ukończona, i w bieżącym roku lub w początkach przyszłego kolonia ma być emancypowana, t. j. zarząd kolonii ze strony rządu federalnego będzie skasowany.

Kolonja posiada aż dwa miasteczka, z których jedno, położone w odległości mili od stacji kolejowej Paulo Frontin, jest siedziskiem władzy — urzędu kolonizacyjnego. Zbudowano tu kościół, cerkiewkę rusińską, brazylijską szkołę rządową, kierowaną przez nauczyciela polaka, i kilkanaście wend. W tem też miasteczku koloniści oczekują po przybyciu na wyznaczenie im lotów czyli szaków (działki ziemi 20—25 hektarowe), mieszkając w tak zwanych „budkach”, każda rodzina oddzielnie.

Drugie miasteczko powstaje nad rzeką Iguassu w odległości 3 mil od pierwszego po dobrej drodze kołowej. Tu szybko rozwija się handel,



WODOSPAD SANTA MARIA NA RZECIE IGUASSU

(Największy wodospad na świecie)



gdyż komunikacja parostatkami jest tańsza od kolejowej, więc kolonista nabywa taniej potrzebne mu towary, otrzymując wyższe ceny za swe produkty. Mieszkańcy, ulice, kościół, cerkiew, szkoła, poczta wszystko tu dopiero w projekcie.

Nowej kolonii rokują powszechnie pomyślną przyszłość, gdyż posiada ona wyjątkowo jak na Paragę dogodną komunikację (koleją i wodą), leży prawie w środku kolonii polskich i posiada w większej ilości „pszenicę parańską” *herva mate*.

Kolonję zakładał „ojciec kolonizacji polskiej” p. Edmund Saporski. Odbiło się to przedewszystkiem na stanicie dróg i mostów, urządzonych lepiej i trwalej niż gdzieindziej.

Pierwsze zetknięcie się kolonisty przy tak zwanem zaprowiantowaniu z prawami i władzami brazylijskimi jest dlań źródłem rozczarowania i niewiary w celowość opieki rządowej, oraz przypuszczeń, że w stosunku do emigrantów kierują się tu raczej tradycjami niewolnictwa, niż szczerymi hasłami młodej republiki. Każdy kolonista ma według prawa otrzymywać prowiant w stosunku 500 reisów na dobę dla osoby dorosłej. Prowiant ten obowiązany jest odrobić, pracując przy przeprowadzaniu dróg, budowie mostów i t. d. Za robotę tę kolonista nie otrzymuje ani gotówki, ani też kwitków, jeno książeczkę kontową jednej z uprzywilejowanych „wend”. Staje się to źródłem nadużyć z jednej i krzywd dla drugiej strony, bo handlarz nie liczy się z klientelą, jeno z wyższą władzą, od której otrzymuje koncesyę. Zdarza się więc, na przykład, iż w wendzie, gdzie kolonista brać towary musi, brak mąki lub słoniny i t. p. nie-



KOLONIA VERA GUARANY. KOŚCIÓŁ POLSKI

fol. T. Chrostowski

zbędnych produktów, uzupełniają więc należną kolonistę sumę wódką, perkalikami i t. p. artykułami niezbyt niezbędnymi, lecz dającymi większe zyski wendyście.

Dowodem, jak silnie daje się podobny system we znaki, może służyć fakt podniesionego tu z tego powodu w roku zeszłym przez kolonistów buntu, tłumionego przy pomocy siły zbrojnej. A działo się to w kolonii podczas humanitarnych rządów znanego i popularnego rodaka.

Prawo na prowiant przysługuje kolonistę do czasu pierwszych zbiorów własnych t. j. w ciągu pół roku, zwykle jednak termin ten jest przedłużany. Oprócz prowiantu wydają ręczne narzędzia rolnicze, kilka naczyń kuchennych i nasiona — zwykle nie nadające się do użytku.

Po przybyciu na swą działkę (*lot-szakier*), kolonista jest pełen otuchy i dobrej nadziei na przyszłość. Jakżeż inaczej? Wczorajszy nędzarz dziś jest obywatelem, władającym 25-hektarowym obszarem zwykle szczerego lasu, a ziemia, jak powiadają, bardzo dobra — rodzi się wszystko, nawet ryż i pomarańcze.

Takie przekonanie — zupełnie zresztą iluzoryczne — powstaje wskutek zachowania przez kolonistę poglądów na własność ziemską ze starego kraju. W rzeczywistości otrzymana przezemń ziemia ma bardzo niewielką wartość — rząd płacił za nią po 10 milreisów za hektar. Otóż ten dokonany w mniemaniu kolonisty przewrót materialny usposabia go nadzwyczaj przychylnie do wszystkiego, co znajduje w nowej ojczyźnie.

Ze zdumiewającą szybkością ten urodzony konserwatysta,



KOLONIA VERA-GUARANY CERKIEW RUSIŃSKA

fol. T. Chrostowski



chłop polski, przystosowywa się do miejscowych warunków; dość powiedzieć, iż zapomina wkrótce o niepraktykowanym w Brazylii poście. Więc naprzód wyrzeka się prawie zupełnie spożywanych w takich masach w kraju kartofli, dalej zapomina o mleku, herbacie, grochu i t. d., natomiast przyjmuje i zadowala się w zupełności podstawami kuchni brazylijskiej; czarną fasolą (zwaną *f i ż o n*), kukurydzą i herwa mate.

Dalej, porzuca kolonista europejski system uprawy: nawożenie i spulchnianie ziemi przed zasiewem, natomiast przyjmuje system brazylijski, polegający na peryodycznym wypalaniu drzew i zielska na poszczególnych kawałkach ziemi i sianiu lub sadzeniu bez uprzedniego spulchnienia przy pomocy motyki i palika. Zmienia wreszcie zupełnie system budowania, wzorując się na sta-

wianych przez Komisję budynkach rządowych. Polską chałupę spotykamy tu nadzwyczaj rzadko; znika ona tu prawie zupełnie wraz z ubiorami, piosenkami i różnymi obrzędami, które stanowiły



fot. T. Chrostowski

KOLONIA VEPA GUARANY. „BUDKI” W MIASTECZKU

dawną kulturę kolonisty, porzuconą dla tak imponującej mu kultury brazylijskiej. Na czym ona polega i co z niej nasz kolonista sobie przyswaja?

D. C. N.

Tadeusz Chrostowski.



Z podróży Węgrów w Polsce. ⁵⁾

Również od wschodu jest rzeka Motława, którą statki płynące od Wisły i od morza mogą wejść aż do miasta. Ta rzeka jest po trzykroć użyteczna dla miasta: 1) statkom służy za drogę aż do bram miejskich; 2) od wschodu otacza je głęboką pięć, sześć sążni fosą; 3) w czasie napadu na miasto dodaje odwagi mieszkańcom, zatamowana bowiem rozlewa na kilka mil na południe i na wschód, pokrywa łąki, tak, że z tej strony nie mają obawy od nieprzyjaciela. Od zachodu płynie rzeka Radunia, która idąc trzy mile między groblami, narazie przechodzi przez miasto, gdzie różnym rzemieślnikom, a przeważnie farbiarzom sukna oddaje wielkie usługi. Radunia dostarcza wody

do studzien, są też na niej rozmaite młyny, t. j. papierne, do mielenia kory drzewnej, prochu i mąki. Między nimi jest jeden, z którego król polski ma co godzinę jeden dukat węgierski, co wynosi 8760 dukatów na rok. Jest w nim osiemnaście kamieni młyńskich; młyn ten stoi przy kościele św. Katarzyny.

Miasto otoczone murami dzieli się na dwie części: na Nowe i Stare Miasto. Rządy są w rękach Nowego Miasta, autorytet ustaw przypisują sobie natomiast staromieszczanie, tak że można apelować z nowego miasta do starego, ale nie można odwrotnie. Mur, który otacza miasto, jest pojedynczy, niski i tylko z cegieł stawiany, ale wały



za to są bardzo wysokie i szerokie, tak że mogą na nich cztery wozy jeden przy drugim jechać. Wewnątrz zaś, nie jest ten wał masywny, lecz próżny, sklepiony, i chowają tam rozmaite sprzęty wojenne i narzędzia. Tylko od zachodu i od północy ma miasto takie mury, bo, jak już mówiłem, od wschodu i od południa Wisła i Motława bronią je dostatecznie. Jest też kilka baszt; fosa za to nie jest bardzo szeroka ani głęboka. Oprócz tego jest jeszcze jeden mur, który otacza tylko Nowe Miasto, ale tak marny, że do obrony służyć nie może; to też gdańszczanie całą swoją nadzieję położyli w Bogu i w szancach zewnętrznych i tego muru zaniedbali, nie opiekując się nim wcale.

Od zachodu posiada miasto tylko jedną bramę, zręcznie i bardzo misternie rzeźbioną z kamienia; na górnej jej części są trzy herby. Od strony prawej znajduje się herb Gdańska: dwa białe krzyże w czerwonym polu, trzymane przez dwa wielkie lwy; herb ten jest pozostałością po krzyżakach, do których niegdyś miasto należało. Środkowy herb przedstawia orła, strzeżonego z góry przez dwóch aniołów—jest to herb Polski. Na trzecim jest orzeł trzymany przez jednoroźców — herb Królewca. Nad bramą mieszczą się więzienia i katownie, które dzielą się na wiele części, według stopnia i rodzaju przestępców. Nazywają ją „wysoką bramą”, od znajdującej się obok niej wysokiej wieży, zwanej *S t o c k*,—to jest laska albo kij, —sądzę dla tego, że tu siekają różgami nieczyste osoby i lotrów, którzy nie zawinili tak dalece, żeby ich poddawać karze publicznej. Bardzo piękną złotą bramę posiada drugie, wewnętrzne ogrodzenie. Od południa jest także tylko jedna brama, strzeżona jednak tylko podczas wojny. Od wschodu na wodach Motławy dwie bramy z mostem zwodzonym. Od północy znów dwie, z których jedna jest stale pilnie strzeżona. W wewnętrznym zaś ogrodzeniu, które Nowe-Miasto otacza, znajduje się bram trzynaście, o których bliżej opowiadać nie będę; najpiękniejsza i najsilniejsza z nich jest brama „*G r ü n T h o r*”, przez nas zwana zieloną bramą, pod którą znajdują się rozmaite miary, cetnary, funty do ważenia towarów sprowadzanych morzem. Przez bramy te wychodzi się prosto na most, umieszczony przy wewnętrznym ogrodzeniu; tuż obok jest wygodna przystań.

Często gromadzi się w tem miejscu tak dużo

okrętów, że przez mnóstwo lin nie można dojrzeć następnego mostu. Tu też sprzedają wyladowane z okrętów towary, jako to: sukna, żelazo, alabaster, łomy drogiego marmuru, ołów, cynę, drzewo, pszenicę, wino, rodzyunki, pomarańcze, cytryny, granaty, figi, sery holenderskie, garnki, kwiaty i z rozmaitych krajów przywożone w wielkiej obfitości drogie towary i owoce.

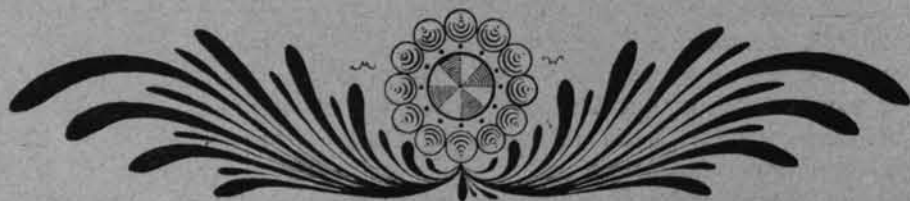
Na tym moście widziałem 6 kwietnia 1617 r. młode drzewo (*Nux vomica*), nie większe od wielkiego palca u ręki; sprzedawano je po złotemu i dziesięć denarów. Nie mogłem się dowiedzieć, do czego drzewo to służy; u nas można byłoby go używać za lekarstwo i nawet zabrakłoby go na naszych łąkach.

Widziałem też przywożone z krajów murzyńskich jaja strusie tak wielkie, że w jednym zmieściłoby się pół kwarty wody, widziałem żywą świnkę morską, której kształt, sierść i głowa podobne są do susła, ale tak wielką jak jednoroczny warchlak; przy małych krótkich nóżkach kadłub ma aż nadto gruby. Na innym moście pełno było śledzi i innych ryb, a ze statków wynoszono różne zboża. Od strony południowej rzeka Motława rozdziela się na dwa ramiona, z których jedno płynie pod murem miasta, drugie zaś tworzy wyspę, na której stoją śpichlerze; o ile mogłem sądzić na oko, zajmują one taką przestrzeń, jak ogrodzona część miasta Szepsi. Śpichlerze te pełne są zawsze rozmaitych zapasów żywności, a na górnych ich piętrach są składy wosku i smoly, żeby ich woda nie psuła; tuż obok są składy rżniętego drzewa budulcowego, które po dobrych cenach nabywają hiszpanie, Anglicy, Francuzi. Tutaj też są składy alunu, którym gdańszczanie prowadzą wielki handel, tanio kupując go od Polaków, a drogo sprzedając obcym farbiarzom sukna. Niegdyś miało miasto bardzo piękny zamek, którego resztki jeszcze i dziś widać nad wodami Motławy, na krańcach miasta, gdzie teraz cegielnia, browar i suszarnia.

W Gdańsku jest dwanaście kościołów, a mianowicie: Panny Maryi, Gimnazjalny, św. Piotra, Czarnego klasztoru, św. Katarzyny, św. Elżbiety, św. Gertrudy, św. Bartłomieja, św. Jana, św. Jakuba, Karmelitów i św. Ducha.

Dr. Adryan Divéky.

D. C. N.



Wejście na Mont-Blanc (4810 m.)⁴⁾

Jakoż ostrożność i związanie liną nie okazują się zbyteczne, gdyż zapada się w jakąś szparę jeden z nas, potem drugi. Dochodzimy w dalszym ciągu do „Mur de la cote”. Tu się zastanawiamy poważniej, gdyż mamy pod sobą sto metrów ściany lodowej, przysypanej miejscami sypkim śniegiem. Schodzić musimy bardzo powoli — pojedynczo, rąbiąc czekanami lub wybijając butami stopnie z wzajemnym zabezpieczeniem się z góry liną. Zjazd na czekanach wydaje się niemożliwym ze względu na wystający miejscami z pod śniegu nagi lód. Zużywszy na to przejście stosunkowo wiele czasu, stajemy na przełęczy „col de la Brenva” (4333 m.) w najniższym zagłębieniu pomiędzy Mont-Blanc i Mont-Maudit. Na prawo mamy pod sobą prostopadłą ścianę kilkusetmetrową, a w dole — lodowiec „gl. de la Brenva”. Na lewo zaś — przejście ku Grand Plateau, zwane „Corridor”. Nasza jednak droga wypada prosto w kierunku Mont-Maudit gdzie widzimy, choć słabe, ślady stóp ludzkich. Posuwamy się do góry zrazu po łagodnym zboczu, przebywamy większą szczelinę i dalej po stromym nieco śniegu dostajemy się na przełęcz „col du Mont Maudit” (4370 m.) o sto tylko metrów poniżej „przeklętego” szczytu. Ale nie jest naszym zamiarem zdobywać jego ostry wierzchołek, gdyż widok z przełęczy na dalszą drogę naszą każe nam się poważniej zastanowić. Pod nami bowiem znowu prawie stumetrowa ściana śniegowa. Dogorywający dzień nie daje nam się długo namyślać: asekurujemy się liną i schodzimy po jednym. Jak zwykle w takich razach, posuwanie się naprzód idzie bardzo powoli; musimy wybijać swymi butami i czekanami nietylko oparcie dla stóp, lecz też i wgłębienia dla rąk — schodzenie, jak po drabinie o szczeblach ze śniegu. Równie stromego przejścia po śniegu dotychczas nie spotykaliśmy w swoich poprzednich wycieczkach alpejskich.

Gdy wreszcie po długim mozole zostawiamy za sobą ową ścianę i nieco wypoczywamy, zmierzch zapada, tak że dalsze zejście zboczem „Mont-Maudit” idzie nam z niemalą trudnością. Posuwamy się jakąś „własną” drogą, lawirując pomiędzy szczelinami i wyszukując mniej stromych nachyleń i nie tak sypkich śniegów. Kiedy wreszcie znajdujemy się w kotlinie (4051), zamkniętej przez zbocza Mont-Maudit, Aiguille de Saussure i Mont-Blanc du Tacul, noc już mamy zupełną. Na szczęście, zjawia się nam sprzymierzeniec w postaci wschodzącego księżyca. Przy błasnym jego świetle dostrzegamy na pochyłości Mont-

Blanc du Tacul słabe ślady, prowadzące niewątpliwie do col du Midi, gdzie ma się znajdować schronisko. Tam właśnie projektowaliśmy sobie urządzić nocleg — nie tracimy nadziei, że go zdobędziemy. Po krótkim więc wypoczynku wchodzimy na zbocze Mont Blanc du Tacul, idziemy szybko do góry po twardym śniegu i wkrótce znajdujemy się na wschodnim grzbiecie tego szczytu o pół godziny łatwej drogi do jego wierzchołka. Ale widok stąd odbiera nam zupełnie nadzieję na planowany nocleg w schronisku. Przełęcz bowiem col du Midi znajduje się przed nami w dole o jakie 500 metrów, całe zaś zbocze, po którym nam wypadło zejść, odwrócone od księżyca, pogrążone jest całkowicie w ciemnościach. Przeciwniegią ścianę Aiguille du Midi księżyc za to oświetla jasno, widzimy nawet przez lornetkę na tle kilku czarnych skał, wśród śnieżnego pola, jaśniejsze ściany schroniska; — niestety, jest ono już dla nas na tę noc stanowczo niedostępne. Zegarek wskazuje godzinę 10-tą — decydujemy się dalej nie iść, lecz tu na śniegu przenocować. Chodzi nam już o to tylko jedynie, ażeby lepiej ukryć się przed zimnem, a szczególnie przed owym przykrym wiatrem, prześladowującym nas od samego szczytu M.-Blanc i dokuczającym na wszystkich przystankach. Postanawiamy poszukać w zboczu, opadającym ku przełęczy, jakiego wgłębienia lub ostatecznie szczeliny w ścianie lodowej i w niej się na noc ułożyć. Półgodzinne przeszło jednak poszukiwania z latarką, którą co chwila wiatr nam gasi, doprowadzają nas do takich rozpadlin, w jakie wejść, a tembardziej spać w nich nie mielibyśmy odwagi, na stromem zaś zboczu trudno nawet dla nóg znaleźć oparcie; cofamy się więc z powrotem do opuszczonego grzbietu — na paśnię wiatru i zimna, zato w bezpieczne od mimowolnego ześlizgnięcia się miejsce. Kopiemy w pulchnym i suchym śniegu możliwie najgłębsze doły tak, ażeby boki ich zakryły nas od wiatru; okrywamy się wszystkim, cokolwiek odpowiedniego znaleźliśmy w workach, i układamy się w dołach twarzą do śniegu. O śnie jednak niema mowy; każdy podmuch wiatru zdaleka już odczuwamy — słyszymy, jak śnieg sunie po powierzchni grzbietu, wsypuje się do dołu i pruszy na twarz, aż całym ciałem wstrząsa dreszcz, nie dający się opanować. Od czasu do czasu zmieniamy bardzo niewygodną pozycję dla wypoczęcia członków lub odzywamy się półsłówkami dla przekonania się, czy który z nas nie ma ochoty zamarznąć; to znowu wyszczamy z naszych manierek złodowaciale win.)



NA SZCZYGIE MONT-BLANC (4810)

fot. J. Jaroszyński

Około północy czujemy, że schodzi na nas jakaś ciemna masa — to chmura nas otacza — wiatr jakoś przycicha — przez chwilę drzemiemy — śni się nam schronisko, ciepłe i miękkie koce — lecz za chwilę znowu chwyta dreszcz i budzi. Ktoś wstaje i chodzi — to troskliwy towarzysz bada, czy ta cisza czego złego nie oznacza. Chmura opuściła nas, zostawiwszy na nas zamarzlą skorupę z rosy — trochę pod nią cieplej, ale za to znów stopy nasze przestają być czułe; musimy poruszać nimi i uderzać butami w obawie przemrożenia nóg. Wiatr znowu powraca i sypie śniegiem, i znowu drżymy, mającąc w półśnie.

Po kilku godzinach takiego „snu” zaczyna się rozwidniać, co witamy z uczuciem niemałej ulgi. Gdy przybyło dość światła, odrywamy swe ubrania przymarzłe do śniegu, rozprostowujemy raczej zbolale niż wypoczęte członki i puszczamy się w dalszą drogę. Całe trzy godziny trwa jeszcze schodzenie do przełęczy pomiędzy szczelinami po stromym obsuwającym się pod stopami śniegu. Jedna szczególnie rozpadlina w kształcie uskoku lodowego zabiera nam dużo czasu. Ponieważ obejść jej nie można, musimy skakać z jednego brzegu szczeliny na drugi, położony o 5 metrów niżej. Chwila, poprzedzająca skok ten, nie jest przyjemna, gdyż miejsce skoku jest stosunkowo daleko. Na szczęście po drugiej stronie śnieg jest dość miękki i obchodzi się bez potłuczeń lub wstrząśnień.

Nareszcie stajemy na przełęczy „col du Midi” (3564 m.) i śpiesznie podążamy do schroniska—

niewielkiego domku z desek z dziurą we drzwiach, zastępującą okno. Jesteśmy nim zachwyceni, gdyż zaopatrzone jest w koce, drewna, a nawet znajdujemy topioną wodę, co nam zaoszczędza wiele czasu na topienie śniegu. Posilamy się gorącą herbatą, robimy sobie noc, zamykając drzwi, i zasypiamy otuleni w ciepłe koce.

Około południa opuszczamy sympatyczne schronisko, zamykamy drzwi na wszystkie zasuwę i pośpieszamy w dalszą drogę. Dalej mamy teren znokomicie na-

dający się do nart, tak zwaną Vallée Blanche. Zapadamy się tu niekiedy w śniegu powyżej kolan. Schodzimy przełęczką (3500 metrów) pomiędzy Rognon i M. Blanc du Tacul na lodowiec gl. du Tacul (3000 m.), ten sam, który kilka dni temu obserwowaliśmy z dołu z Mer du Glace, dokąd właśnie splywa. Obserwujemy roztańczający się stąd piękny krajobraz: pola śnieżne bez końca i wznoszące się wysoko ostre piramidy igieł, wśród których wyróżnia się swym niezwykłym kształtem „Aiguille du Géant”. Dokucza nam nader silny blask śniegu, przed którym trudno dobrze osłonić twarz i pozbawić się bardzo niemiłego uczucia palenia skóry przy całkiem chłodnym powietrzu. Kierujemy się ku przełęczy „col du Géant”, dokąd wypada nam iść znowu pod górę po lodowcu „du Géant”, pomiędzy niebosięzną igłą „du Géant”, (4014 m.) z jednej strony i mniejszemi już „la Vierge” (3222 m.) oraz „Flambeau” (3554) z drugiej. Do przełęczy dochodzimy (3370 m.) około 5-ej po południu. Żegnamy stąd naszą drogę poprzednią, którą za chwilę stracimy z oczu, i podziwiamy szeroko roztańczający się widok na włoską stronę — błękitne doliny, grupę Alp Grajskich, oddzieloną od naszej grupy szeroką przełęczką—Małym Bernardem. W kilkanaście minut potem znajdujemy się we włoskim schronisku Rifugio Torino (3370 m.), bardzo wygodnie urządzone, i tu zostajemy na noc.,

Następnego dnia, t. j. 20 sierpnia, schodzimy do Courmayeur (1230 m.) — pięknie położonego



miasteczka — stacyi klimatycznej — przy połączeniu malowniczych dolin Val Veni i Val Ferret — ze wspólnym widokiem na część łańcucha grupy Mont Blanc. Stąd omnibus samochodowy zabiera nas do odległej o 35 kilometrów stacyi kolejowej w Aości. Długo jeszcze oglądamy się i żegnamy znikające jeden po drugim z przed oczu naszych śnieżne szczyty, które w ciągu zaledwie 5 dni dały nam tyle pięknych, silnych i niezapomnianych wrażeń.



fot. J. Jaroszyński

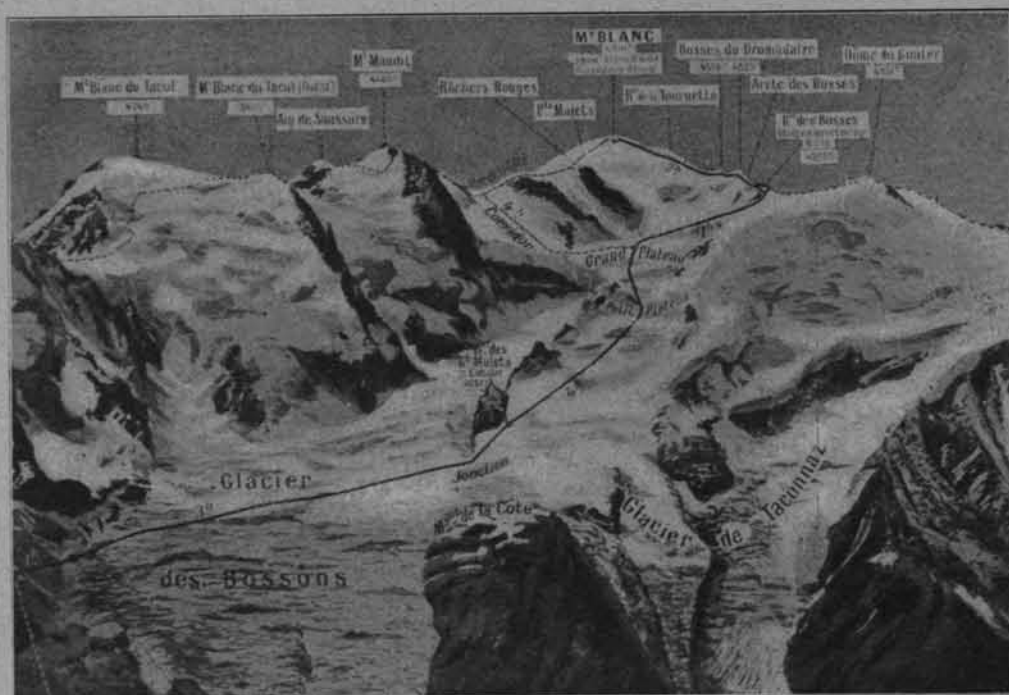
WIDOK Z RIFUGIO TORINO (3370) NA M. BLANC (z prawej strony) M. Blanc de Cuurmayeur Aig. Blanche de Pétórat, Aig. Noire de Pétórat

Na zakończenie dodam słów parę dla informacyjnych czytelników, którzyby mieli ochotę powtórzyć opisaną wyżej wycieczkę. Wejście na Mont-Blanc nie jest bynajmniej trudne w takim stopniu, jak je sobie niejedni wyobraża, sądząc z informacji pism lub podręczników. Niejednego przestrasza również wysoka taksa przewodników, którzy żądają po 100 franków, nie licząc kosztu tragarza, o ile ktoś nie chciałby sam nosić niezbędnych rzeczy — wydatek ten wynosi około 50 franków. Na wytargowanie czegoś z tej taksy liczyć nie można, gdyż przewodnicy są doskonale zorganizowani, mają własne biuro, które nie dopuszcza do bezpośrednich pertraktacji przewodników z turystami, ani nie pozwala na wybór przewodników, lecz samo według swego uznania ich przernacza i wreszcie określa ilość przewodników dla danego grona turystów zależnie od ich kwalifikacyi turystycznych (nieraz „każe” jednej osobie brać dwóch przewodników). Podobne utrudnienia, obliczone na ludzi zamożnych, z jednej strony i wzmagające się wyrobienie ogółu podróżników z drugiej zrobiły, że obecnie prawie połowa wejść na M. Blanc odbywa się bez pomocy przewodników. Nieodzowna jednak jest w tym razie dobra znajomość turystyki wysoko-górskiej i głównie lodowcowej, nabyta drogą doświadczenia. Niezbędny warunek powodzenia wycieczki — ważniejszy tu niż w jakimkolwiek innym miejscu — to dobra pogoda. Piękne dni jednak w gru-

pie M. Blanc niestety nie należą do zbyt częstych. Ażeby uniknąć niespodzianek i zbyt długiego wyczekiwania na pogodę, należy wybierać się w te strony pomiędzy 15 lipca a 30 sierpnia, gdyż wcześniej — zbyt wiele jest głębokiego śniegu, później zaś lodowce niezbyt są dogodnie do chodzenia i dni krótkie. Największe niebezpieczeństwo wyprawy, jakiego żadne inne szczyty alpejskie w podobnym stopniu nie posiadają, stanowią burze śnieżne, które zjawiają się tu prawie niespodzianie i z szybkością, nie pozwalającą na zastosowanie odpowiednich środków ochronnych. Mroźny wicher, powietrze przepelnione pyłem śniegowym, uniemożliwiający prawie oddychanie, zjawiająca się zarazem prawie zupełna ciemność, czynią położenie turysty prawie bez ratunku. Obecność przewodnika wtedy może być zbawczą, jakkolwiek bywały wypadki, iż nawet w tym razie tracono drogę do schroniska, odległego zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Na M.-Blanc prowadzą 4 główne drogi, a mianowicie dwie ze strony francuskiej z Chamonix i z St. Gervais i dwie ze strony włoskiej z Courmayeur. Pierwszą z nich, drogę „klasyczną”, należy każdemu polecić, jako nietrudną, ładną i urozmaiconą, a zarazem jako najbardziej uczęszczaną, co dla idących bez przewodnika nieraz może być pomocne. Droga od St. Gervais jest łatwiejsza, lecz mniej urozmaiconą; inne drogi ze strony włoskiej są mało uczęszczane i trudne.



Poludnie



Col du
Midi

Cour-
mayeur

Wschód

Chamonix
1050 m.

Aig.
du Gouter
3843 m.

St. Ger-
vais

Zachód

Północ

Pierre Pointu Pierre à l'échelle
2049 2411

SCHEMAT DRÓG NA MONT-BLANC

W latach ostatnich wchodzi na szczyt M. Blanc w ciągu sezonu około 100 osób, tylko do schroniska zaś na Gr. Mulets ilość podwójna. Z bardziej oryginalnych wejść zaznaczę wejście a raczej „wniesienie” M. Jansena, który był zaniesiony na szczyt w lektyce w roku 1890 jeszcze, i dziwaczny pomysł angiłka J. Campebella, który z pomocą syna i 3 przewodników w roku 1880 dotarł do szczy-

tu, będąc zupełnie niewidomym. Nawiasem dodam, że ten sam „turysta” odznaczył się później założeniem klubu niewidomych cyklistów, sport ten jednak przyplacił życiem. Można by stąd może wyciągnąć wniosek, iż mniej niebezpieczne dla niewidomego jest wejście na M. Blanc niż jazda na rowerze.

J. jaroszyński.



DWORY, ZAMKI I PAŁACE.

39. Dwór w Czermnie

W połowie roku bieżącego odegrany został ostatni akt upadku dóbr Czerмна, położonych w pow. koneckim, gub. radomskiej (14 wiorst od Przedborza nad Pilicą). Na gruncie rozparcelowanego za pośrednictwem Banku włościańskiego w roku ubiegłym majątku rozebrany został jeden z piękniejszych budynków dworskich

drewnianych. Zdjęcia fotograficzne dokonane w przeddzień niemal tego smutnego dla naszej większej własności ziemskiej faktu, związanego zwykle z rozbiórką najbardziej nawet cennych zabytków naszego budownictwa drzewnego, wycinaniem ogrodów owocowych i parków, pozwoliły nam przynajmniej zachować dokument, świadczący o stylu usuniętego z widowni dworu. Z rozebranego materiału modrzewiowego postawione zostały trzy



„nowe” chaty włościańskie, dwie w Falkowie i jedna we wsi Czermnie. O tem, że w lasach dworskich musiały niegdyś być piękne modrzewie, świadczą dwaj żywi tych czasów świadkowie—2 olbrzymie modrzewie, które zachowane zostały przed niszczącą siłą nierozważnej siekiery prawdopodobnie dla tego jedynie, że wyrosły na terytorium ogrodu, należącego do parafii przy plebanii. Modrzewie te, panujące olbrzymim wzrostem swoim ponad wszystkimi drzewami okolicy, mają 400 centymetr. w obwodzie i przeszło 30 łokci wysokości. Dwór

Czermnno należał niegdyś do Jakubowskich, którzy dotąd władają sąsiednimi dobrami Falkowem. Stanisław Jakubowski wznosił w roku 1878 obecny piękny kościół murowany w Czermnie na miejsce dawnego modrzewiowego, fundowanego przez Stefana Czermińskiego w r. 1521.

W r. 1880 Jakubowscy sprzedali Czermnno Chodeckiemu, który w dwa lata później przystąpił do parcelacji nabytego majątku pomiędzy miejscowych włościan. Parcelacja jednak do końca doprowadzona nie została, i Czermnno na drodze

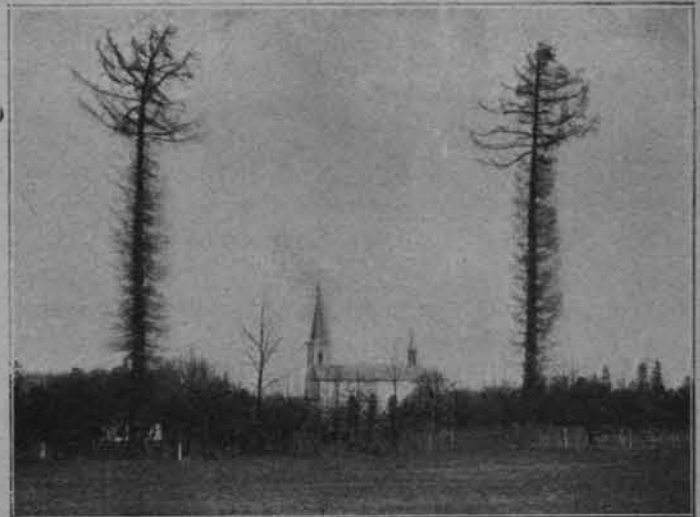
licytacyi nabył żyd Rajchman, od którego niebawem odkupił je przed kilkunastu laty inżynier Cichocki, dziedzic Skórnicy po Jakubowskich, dyrektor fabryk Starachowickich.

Cichocki jednak, jako chory umysłowo, usunął się rychło z Czermnna i zmarł w roku ubiegłym w Skórnicy, Czermnno zaś sprzedane zostało braciom Marcnowi i Michałowi Rybakiewiczom, którzy dzieła parcelacyi dokonali jednocześnie prawie ze śmiercią poprzedniego dziedzica Czermnna.



DWÓR W CZERMNIE OD FRONTU

fol. K. Kulwiec.



MODRZEWIE W CZERMNIE

fol. K. Kulwiec

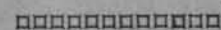


TYŁY DOMU W CZERMNIE

fol. K. Kulwiec

Jaki może mieć wpływ na ogólny stan kulturalny okolicy upadek, parcelacja takich jak Czermnno dworów — domyślać się można już chociażby z tego, że nietylko w Czermnie, licząc obecnie 1150 mieszkańców na 160 domów mieszkalnych, lecz i na obszarze całej gminy, obejmującej 11147 morgów z ludnością 4643 głów, niema ani jednej szkoły!

K. K—ł.



Zapowiedź na rok 1912.

Ziemia w roku przyszłym wychodzić będzie w tym samym formacie, ten sam też obejmując zakres. Nie zmieniając programu ani rodzaju wydawnictwa, za zbędne uważamy wyjaśnianie zasad, które przy prowadzeniu pisma kierujemy się, poprzestając na podaniu do wiadomości łaskawych czytelników, co w tece swej posiadamy i co w najbliższej przyszłości drukować zamierzamy.

W dziale przyrodniczo-geograficznym zapewnioną mamy stałą pomoc i współpracownictwo **prof. Eugeniusza Romera**, którego świetne studium „Japonia i Japończycy” drukowała „Ziemia” w tym roku. Oprócz tego dać będziemy mogli przede wszystkim wyjątki większej pracy nieodżałowanego **Wacława Nałkowskiego** — *Polesie* i cenny jego szkic ogólniejszy *Trzęsienia ziemi*. Większą również, gruntowną pracę dał nam p. **Hirsberg**: *Rys geologiczny wyżyny łódzkiej*. **Dr. Lud. Sawicki** pisać będzie o *Krajobrazie pustynnym w Polsce*, oraz z metodyki krajoznawstwa *O unifikacji międzynarodowej na polu geografii*. **P. Stan. Lencewicz** daje *Zarys geologiczny okolic Warszawy*; p. **Feliks Rutkowski** — *Historję Bałtyku*; p. **Paweł Sosnowski** — *Jurę krakowsko-wieluńską*; drobnym ale cennym przyczynkiem są *Rzadkie ptaki w Lubelskiem* p. **Janusza Domaniewskiego**. Pod ogólnym nagłówkiem „*Ze skarbów naszej przyrody*” umieszczane będą także przyczynki pióra red. **K. Kulwiecia**.

Z działu archeologii mamy p. **S. J. Czarnowskiego** — *Wąwóz Jamki*, oraz dwa niezwykle interesujące szkice **Mar. Wawrzeńckiego** — *Wawel-grodzisko* i *Czem być mogła mogiła Wandy?*

Na polu geografii historycznej ziem polskich rozpocząć chcemy w „Ziemi” pracę bardziej planową. W tym celu zwróciliśmy się do szeregu wybitnych znawców przeszłości naszej z prośbą o skreślenie krótkich ale wyczerpujących monografii terytoryalnych, mogących utworzyć potem pewną zaokrągloną całość. Monografie te, w jeden mniej więcej schemat ujęte, traktować będą o granicach danego terytoryum w ich kolejnych zmianach, o dziejach osadnictwa i — specjalnie przy ziemiach etnograficznie niepolskich — o roli, wpływie i doniosłości kultury polskiej na danym obszarze. Dotychczas uzyskaliśmy zapowiedź prac: **dr. Ignacego Baranowskiego** — *Podlasie*, p. **Franciszka Pułaskiego** — *Podole*, p. **Witolda Kamienieckiego** — *Czarna Ruś*, i p. **Henryka Wiercieńskiego** — *Lubelskie*. Mamy wszelką podstawę do przypuszczeń, że w najbliższej przyszłości pozyskamy dalszy szereg współpracowników, pozwalający nam objąć w ten sposób wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej.

Duży nacisk położyliśmy na rozwinięcie rozpoczętego w tym roku cyklu „**Zbiorów polskich**”. Z rzeczy gotowych do druku lub zapewnionych w najbliższej przyszłości wymienimy: p. **Maryana Wawrzeńckiego** — *Dział przedhistoryczny w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie*; p. **Henr. Wiercieńskiego** — *Biblioteka im: Łopacińskiego w Lublinie*; **d-ra Mar. Gumowskiego** — *Muzeum Czapskich w Krakowie*; **d-ra Barana** — *Muzeum Czartoryskich w Krakowie*; **L. Uziębły** — *Muzeum sztuki i nauki w Wilnie*; p. **Henr. Mościckiego** — *Zbiory Towarzystwa Przyjaciół nauk w Wilnie*; **d-ra Ign. Baranowskiego** — *Biblioteki duchowne w Warszawie*; **d-ra Ad. Chmiela** — *Archiwum m: Krakowa*; **d-ra Kazim. Kaczmarczyka** — *Muzeum historyczne Krakowa*; **ek** — *Biblioteka Jagiellońska w Krakowie*; **d-ra Erzepkiego** — *Zbiory Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu*; **d-ra Strzembosza** — *Biblioteka Polska w Paryżu*; **d-ra Steinborna** — *Zbiory Tow. Naukowego w Toruniu*; p. **Wł. Korotyńskiego** — *Archiwum Główne w Warszawie*; p. **T. Włoszka** — *Muzeum Krajoznawcze w Kielcach* oraz p. **M. R. Witanowskiego** — *Muzeum Krajoznawcze w Piotrkowie*. O muzeach lokalnych w Galicyi dał nam pracę p. **Bohd. Janusz**. Oprócz tego dać zamierzamy z mniejszych ale niemniej nieraz ciekawych zbiorów prywatnych opisy kolekcji pp.: **Jana Olszewskiego** w Warszawie, **Jeżewskiego** w Głębokiem, **Przybysławskiego** w Uniszu na Pokuciu, **Stan. Rusieckiego** w Trojance na Ukrainie, **hr. Tyszkiewiczów** w Czerwonym Dworze i in.

Nie zaniedbamy i drugiego, w roku zeszłym już rozpoczętego działu p. n. „**Dwory, Zamki i Pałace**”. Oprócz dalszego ciągu prześlicznych opisów **Dygasińskiego** mamy w tece



p. **S. Pruszyńskiego**—*Paniowce*, p. **Mich. Federowskiego**—*Dowspudę*; p. **J. Bułhaka**—*Ostaszyn*;
p. **St. Warcholika**—*Oświęcim, Zamek w Cieszynie, Tenczynek i w. in.*

W dziale ludoznawstwa mamy barwne szkice p. **S. Matusiaka**: *Nasza drużyna weselna, Wiano i posag*, oraz tegoż autora szkic językoznawczo-krajoznawczy *Tur i Żubr. O Budownictwie ludowem w okolicach Zamościa* pisać będzie p. **Kaz. Ruski**; *O Karaimach w Łucku* p. **Józef Smoliński**; dr. **Stanisław Pawłowski** — *O ludowem słownictwie meteorologicznem i klimatycznym*.

O zabytkach sztuki traktują: p. **Jarosława Wojciechowskiego** — *Giełto i Stawków*; p. **Lud. Stasiaka** — *Podhradź i Lewocza oraz Pomniki kultury polskiej w Tyrolu*; p. **Henr. Wiercieńskiego** — *Kościół Wniebowz. N. M. P. w Lublinie*; dr. **St. Golińskiego** — *O roślinności wobec estetyki i konserwacji ruin*.

Z szerszych opisów i podróży mamy: p. **Włodz. Antoniewicza** — *Z wycieczki po Galicyi*; p. **Bol. Łazarskiego** — *Jeden dzień w Pieninach*; p. **Wacława Budzyńskiego** — *Z Argentyny*; **d-ra Lud. Sawickiego** — *Z wycieczki do Anglii i Siedmiogrodu*.

O *Starem Wilnie* przyrzekł nam szereg zawsze ciekawych i cennych artykułów doskonały jego znawca **d-r Wład. Zahorski**; oprócz tego mamy w opracowaniu p. **Wacł. Gizberta Studnickiego**—*Wilno XVIII w. pg. relacji podróźnej R. von Wenera. Pożółtkie kartki* da wreszcie p. **Al. Janowski**.

Szereg barwnych i ciekawych wspomnień i szkiców pod ogólnym tytułem *Z galerii typów i oryginałów litewskich* obiecał nam p. **Michał Federowski**, który prócz tego przygotowuje dla nas większą pracę ze źródeł archiwalnych: *Zamoyszczyzna*.

Oprócz tego wzorem roku ubiegłego dać zamierzamy czytelnikom naszym

numer monograficzny

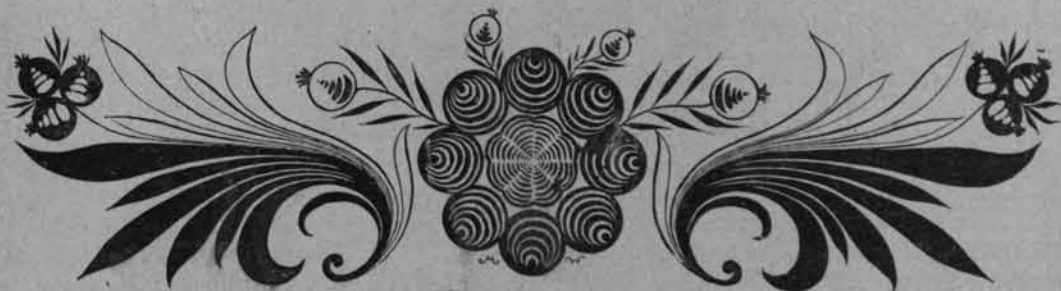
tym razem poświęcony

TATROM

wielkości potrójnej, obficie ilustrowany. Numer ten, podobnie jak tegoroczny numer kaszubsko-pomorski obejmie to wszystko, co się o Tatrach dziś wiedzieć powinno, mamy zaś nadzieję wobec będących w toku rokowań, że artykuły w nim zamieszczone, pióra wytrawnych znawców przedmiotu, będą miały głębszą, nieprzemijającą wartość.

Rozszerzyć i pogłębić też zamierzamy dział *przeglądu piśmiennictwa* krajoznawczego, cały zaś szereg pozyskanych współpracowników i korespondentów pozwala nam mniemać, że i *Kronika krajoznawcza* będzie stała na wysokości zadania.

Skład osobisty redakcyi „ZIEMI” stanowią: **Kazimierz Kulwiec**, redaktor naczelny.
Stanisław Thugutt, kierownik literacki.
Mikołaj Wisznicki, kierownik artystyczny.





Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Dnia 6 b. m. w Sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie odbyło się miesięczne zebranie Towarzystwa Krajoznawczego pod przewodnictwem prezesa K. Kulwiecia, który zdał sprawę z czynności Zarządu Głównego i Komisji Centrali.

Zarząd przystąpił do przygotowania materiału sprawozdawczego z czynności Towarzystwa za r. 1911, który umieszczony będzie w tomie V Rocznika. Redakcję Rocznika powierzono p. wiceprezesowi Al. Janowskiemu.

Rocznik rozesłany będzie w drugiej połowie lutego wszystkim członkom Towarz. krajoznawczego bezpłatnie.

Sekcja Polska Muzeum Międzynarodowego w Brukseli nadesłała do Zarządu następującą odezwę:

„Wszechświatowy Kongres Stowarzyszeń Międzynarodowych, który odbył się dnia 9, 10 i 11 maja 1910 r., postanowił założyć muzeum obrazujące dorobek umysłowy i techniczny na polu międzynarodowego współdziałania.

Celem muzeum jest wykazanie postępu, dokonanego we wszystkich kierunkach w dziedzinie organizacji międzynarodowej i doniosłości takich organizacji z punktu widzenia naukowego i społecznego. Muzeum dążyć będzie do tego przez gromadzenie kolekcji porównawczej przedmiotów i dokumentów ilustrujących naukę, sztukę, ekonomię społeczną, przemysł i handel.

Muzeum to, zorganizowane przez Urząd Instytucji Międzynarodowych (L'Office des Institutions Internationales) pod protektoratem rządu belgijskiego, ofiarowało oddzielną salę na sekcję polską.

W taki sposób po raz pierwszy w Instytucji międzynarodowej wszystkie dzielnice Polski będą mogły łącznie przedstawić swój dorobek kulturalny, zaś świadczyć nim o życiu i rozwoju Polski. Szczególne warunki bytu objaśniają brak udziału Polski na wielu polach współdziałania międzynarodowego i sprawiają, że sekcja polska musi nosić inny nieco charakter aniżeli całe muzeum: musi ona skupiać rezultaty i metody pracy społecznej w Polsce bez względu na jej udział w ruchu międzynarodowym.

Sekcja Polska w Muzeum Międzynarodowym winna zawierać następujące działy:

- 1) Historyczny.
- 2) Krajoznawczy: mapy geograficzne, reliefy, rezultaty badań geologicznych, karty ludności, stroje, przedmioty sztuki ludowej;
- 3) Ekonomiczno-społeczny: organizacje społeczne, kooperatywy i związki, stowarzyszenia wszelkich typów.
- 4) Przemysłowo-handlowy: stan wytwórczości i stosunków handlowych, stan rolnictwa, rzemiosł i sztuki stosowanej, przedstawiony w tablicach, grafikach, broszurach, książkach, sprawozdaniach i t. d.
- 5) Oświatowo-kulturalny: stan oświaty. Instytucje wychowawcze i oświatowe.
- 6) Naukowy: udział Polski w międzynarodowym ruchu naukowym.

Doniosłość takiej instytucji, która dokumentować będzie wobec zachodu postęp kultury polskiej, jest niezaprzeczoną. Stworzyć to muzeum będzie mogła wspólna ofiarność wszelkich zrzeseń w Polsce pracujących. Do tych Zrzeszeń, do wszystkich pracowników, co budują i zbogacają kulturę Polski, zwracamy się, gorąco prosząc o materialne i moralne poparcie.

Sekcja Polska Muzeum Międzynarodowego w Brukseli.

Uznając całą doniosłość projektowanej instytucji międzynarodowej, Zarząd postanowił na razie zebrać odpowiednią kolekcję ilustracji z działu krajobrazów polskich, typów i innych okazów etnograficznych oraz budownictwa i łącznie z własnymi wydawnictwami Towarzystwa przesłać je do Sekcji Polskiej w Brukseli.

Do wykonania uchwały tej powołano sekret. Tow. Kr. p. Janinę Rodysównę i p. Irenę Kosmowską.

Członkowie Zarządu przeznaczili na potrzeby sekcji od siebie 25 rb., członków zaś Towarzystwa Krajoznawczego i czytelników „Ziemi” wzywają do poparcia celu powyższego.

Na skutek odezwy tej doraźnie jeden z uczestników zebrania, p. Konstanty Ostrzeniewski, złożył na ręce prezesa 10 rb. oraz 5 rb. na ogólne potrzeby Tow. Krajoznawczego.

Prace Komitetu Wystawy „Krajobraz Polski” posuwają się raźnie naprzód.

Komitet obmyśla sposoby zwiększenia powierzchni ścian dużej Sali Ratuszowej, udzielonej przez miasto Towarzystwu na Wystawę, przez ustawienie szeregu ekranów — tym bowiem tylko sposobem dadzą się może umieścić wszystkie cenne a niezbędne dla wystawy nadesłane już bądź zadeklarowane eksponaty, tak w dziale fotografii jak i w dziale obrazów.

Do członków-korespondentów Towarzystwa Zarząd rozesłał następującą odezwę:

„Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, powstając w Królestwie Polskim w r. 1907 i stwarzając stanowisko członków-korespondentów, kierowało się potrzebą posiadania w różnych miejscowościach kraju swych przedstawicieli w osobach, znanych ze swych dążeń obywatelskich i odpowiednich do szerzenia wśród ogółu — szczególnie na prowincji — idei poznawania kraju rodzinnego, do szerzenia której Towarzystwo powołane zostało.

Stwarzając organizację zupełnie nową, założyciele Towarzystwa Krajoznawczego zakreślili jej dla poszczególnych środków działania ramy szerokie, chociaż niepozbawione konturów wyraźnych. Doświadczenie ubiegłych 5 lat wskazało Zarządowi Towarzystwa konieczność ujęcia w ściślejsze normy tych zamierzeń, które sobie Towarzystwo na początku w ogólnych tylko ramach zakreśliło; konieczność ta uzasadnia dążenie Zarządu, aby żaden z punktów ustawy lub obojętnych poszczególnie wydziałów nasze regulaminów nie pozostawał martwą literą, lecz aby wcielany był o ile możliwości najowocniej — w życie.

Na ostatniej naradzie, odbytej w Warszawie przez Zarząd Główny Towarzystwa z delegatami Oddziałów prowincjonalnych, zwrócono między innymi uwagę



na działalność członków-korespondentów Towarzystwa i wykazano konieczność zastanowienia się, jak działalność tę do czynniejszego pobudzić życia.

Uważając, że ta tak doniosła dla rozwoju Towarzystwa Krajoznawczego potrzeba, wymaga poważnego rozważenia, przedewszystkiem zaś zasięgnięcia rady i opinii samych członków - korespondentów, Zarząd Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego ma zaszczyt zwrócić się do WPańa z uprzejmą prośbą w następujących sprawach:

1-o O nadesłanie nam w terminie miesięcznym swej opinii i uwag, dotyczących zakresu i charakteru działalności członka-korespondenta Towarzystwa Krajoznawczego wogóle.

2-o O wyrażenie zdania co do czasu trwania kadencji członka-korespondenta (3 lub 5-letnia).

3-o O zakomunikowanie nam, z jakimi warunkami Sz. Pan spotkał się na terenie swej działalności jako członek korespondent Towarzystwa.

Otrzymańie wyczerpującej odpowiedzi na zagadnienie powyższe jest dla nas niezbędne i dlatego również, by upewnić się, skąd i w jakim zakresie liczyć możemy na współdziałanie członków-korespondentów z zadaniami kulturalnemi Towarzystwa Krajoznawczego. Przy niniejszym załączamy egzemplarz regulaminu dla członków-korespondentów."

Odpowiedzi na odezweę tę napływają.

Styczniowe zebranie miesięczne Towarzystwa odbył się w tym samym lokalu 17 stycznia — lutowe zaś d. 7. Doroczne zaś ogólne sprawozdawcze 25 lutego.

P. inżynier Krzyżanowski wygłosił bardzo zajmujący i bogaty w treść referat p. t. „Komunikacye wodne w Polsce”, podając historię regulacyi naszych rzek, oplakany ich stan w granicach Królestwa Polskiego i dzielnicach wschodnich, prace, prowadzone nad utrzymaniem odpowiedniej żeglugi na Wiśle w granicach zaboru austriackiego i pruskiego, oraz wykazując potrzebę i sposoby podniesienia krajowego przemysłu i handlu przez uzdrowotnienie stosunków żeglugi na Wiśle na całej jej rozciągłości.

P. S. Lencewicz zdał sprawę z poszukiwań swych geologicznych i antropologicznych nad Pilicą, dokąd był delegowany przez Tow. Krajoznawcze latem roku bieżącego.

Podczas 15-minutowej przerwy p. Al. Janowski ukazał i objaśnił zebrany piękną mapę poglądową „Przemysłu Królestwa Polskiego”, opracowaną w Łodzi z inicjatywy dyr. W. Kłossa, pod kierunkiem prof. Adamowicza przez dwóch uczniów szkoły handlowej łódzkiej, pp. Z. Kozaneckiego i T. Borowieckiego.

Duże zaciekawienie wzbudziły wystawione na zebraniu zbiory ornitologiczne, entomologiczne, etnograficzne i inne, przywiezione z kolonii polskich w Paranie (Ameryka Południowa) przez p. T. Chrostowskiego i ofiarowane do zbiorów Towarzystwa Krajoznawczego. Zebranie zamknięto o godzinie 11 wieczorem.

□□□□□□□□

Z żałobnej karty.

Dnia 3 grudnia r. b. zmarł w Wiedniu w sześćdziesiątym dziewiątym roku życia literat i publicysta polski

ś. p. GRZEGORZ SMÓLSKI

Zamieszkując od lat wielu w Wiedniu, zmarły brał czynny udział w życiu tamtejszej kolonii polskiej, wydał między innymi polski „Przewodnik po Wiedniu”. Ceniony dla swych zalet i sumiennosci zawodowej, położył zmarły szczególne zasługi w sprawie pogłębienia wśród szerszego ogółu polskiego wiadomości o naszych kresach zachodnich: Śląsku, Mazurach pruskich i Kaszubskim Pomorzu. Prace swe, oparte na gruntownych studyach i wielokrotnych podróżach, drukował zmarły w „Wiśle” i innych pismach polskich, ostatnio kilkakrotnie w „Ziemi”, której od początku był wiernym i życzliwym współpracownikiem. Przed kilku zaledwie tygodniami ukończyliśmy druk większej jego pracy „Z podróży na Pomorze”, nacechowanej jak zawsze nie tylko dokładną znajomością przedmiotu ale i gorącym jego umiłowaniem; nie tylko odkrywającej całe szeregi zjawisk i zabytków nieznanych, ale i broniącej ich dla polskości—choćby jako pamiątki—żarliwie. Drukując te cenne i żywo skreślone notatki, nie przeczuwaliśmy, że będzie to już praca zasłużonego pracownika—ostatnia.

Ze Stowarzyszeń.

Dnia 1 grudnia r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału 11-go Towarzystwa Naukowego Warszawskiego pod przewodnictwem p. J. K. Kochanowskiego. Na posiedzeniu tem p. Adolf Suligowski wygłosił odczyt p. t. „Rysy zasadnicze twórczości naukowej prawników polskich w latach 1801—1910”. W dyskusyi zabierali głos pp.: W. Miklaszewski, J. Kucharzewski, Fr. Pułaski, przewodniczący i prelegent. Po przedstawionym urzędownie na temże zebraniu przez p. K. Stołyhwę odczytanie p. S. Lencewicza p. t. „Charakterystyka antropologiczna ludności Smardzewic”, przemawiali pp.: E. Majewski, K. Stołyhwo, J. T. Baranowski, J. Tur i J. K. Kochanowski”.

Z piśmiennictwa.

Otrzymałmy № 1 „Wędrowca” pisma poświęconego turystyce i sportowi w kraju i zagranicą. Redaktorem naczelnym pisma, wychodzącego każdego 5 i 20 we Lwowie, jest p. Zygmunt Kłośnik-Januszowski, re-



daktorem działu turystycznego p. Roman Kordys, wydawcą p. St. Sokołowski. Wygląd zewnętrzny „Wędrowca”—wykwintny papier, świetne ilustracje, druk na zmianę w dwóch barwach, — stoi na wysokości bardzo daleko idących wymagań, stanowiąc piękne pod tym względem uzupełnienie najwykwintniejszego dziś wydawnictwa polskiego „Wsi ilustrowanej”. Pod względem treści widać usilną dbałość redakcji o dostarczenie czytelnikom swoim strawy lekkiej i urozmaiconej. Z rzeczy bliżej nas interesujących notujemy: entuzjastyczny artykuł o Połazie p. A. Ż., doskonały rzut oka na Zakopane p. Maryana Zaruskiego, „Na pustyni libijskiej” p. Ewy Dzieduszyckiej, „Do okola Tatr na rowerze” Rudolfa Waceka, „Z wycieczki górskiej w Szwajcaryi” dr. Tadeusza Smoluchowskiego i t. d. Mimo pewną „okruczość” swoją drobniotkę te notatki i szkice mogą być czasem niepozabawionym wartości przyczynkiem w dziedzinie krajoznawstwa i jako takie witamy je z uznaniem i życzliwością.

Z nadeszłego ze znacznym opóźnieniem zeszytu „Gryfa”, pisma dla spraw kaszubskich za m. lipiec—wrzesień przekonywujemy się, że w życiu pisma tego zaszły zasadnicze zmiany. Redaktorem odpowiedzialnym „Gryfa” został na miejsce d-ra Al. Majkowskiego, który opuścił Kościerzynę, dr. Franciszek Kręcki, siedliskiem redakcji jest Gdańsk, co zaś najważniejsza przedzierzgnął się „Gryf” z miesięcznika w kwartalnik, tego samego zresztą formatu i tej samej mniej więcej jak uprzednio objętości. Świeżo wydany zeszyt zawiera dwie tylko prace, a mianowicie: „Zarys ogólnej pisowni i składni pomorsko-kaszubskiej” d-ra F. Lorentza z przedmową d-ra Majkowskiego oraz niedawno odszukaną dysertację głośniego d-ra Ceynowy: „De terrae pucensis incolarum superstitione in re medica”, („O zabobonach medycznych mieszkańców ziemi puckiej”), wydaną pierwotnie w 1851 r. w Berlinie a uważaną za zagubioną. Życząc sympatycznemu wydawnictwu jak dotychczas najgoręcej i najszczerzej pomyślnego rozwo-

ju, nie możemy się tem niemniej powstrzymać od wyrażenia nadziei, że nowa redakcja postara się w najbliższej przyszłości o zadzierzgnięcie w sposób bardziej ścisły węzłów z szerszą inteligencją ziem polskich. Nie przeczyliśmy, że „Gryf” jako pismo przeznaczone wyłącznie dla inteligencji kaszubskiej, może mieć dostatecznie samą sobie wystarczającą rację bytu; ale czy może mieć dostateczną podstawę materialną i czy inteligencji całej Polski nie należy co do spraw kaszubskich uświadamiać równie starannie i uporczywie, jak szczupłą garstkę własnych pracowników? Pole pracy przed tak pojętym organem ruchu kaszubskiego jest tak szerokie, a tak długo leżało odlegiem, że doprawdy mało na niem jest miejsca na akty pietyzmu w postaci przedrukowywania w łańskim oryginale rozpraw Ceynowy. Mało miejsca, a dla sprawy samej, tak z wielu względów palącej, — mało czasu.

Dla informacji osób, któreby rade były bliżej zapoznać się z wydawnictwem, mającym już piękną przeszłość za sobą, notujemy, że administracja „Gryfa” przyjmująca przedpłatę (M. 1.60 kwartalnie z przesyłką) mieści się obecnie w Gdańsku, Hundegasse 25.

Odpowiedź Redakcyi.

F. Witkowi Sujk. w Sławkowie. Za wiadomość o zbieranych w Czajowicach i wywożonych do Krakowa do fabryki krochmalu owocach kasztanowca bardzo dziękujemy. Jeżeli autor artykułu o tem zastosowaniu kasztanów nie wspomniał, stało się to oczywiście przez roztargnienie, taki bowiem sposób użytkowywania owoców tej rośliny znany jest oddawna, jakkolwiek szerszych rozmiarów u nas nie przybrał.

SPROSTOWANIE.

W artykule p. Wandalina Szukiewicza „Zamek w Lidzie” № 46 str. 743 w. 5 mylnie wydrukowano „rzeka Lidzinja” zamiast jak być powinno: „Lidzieja”

Od Redakcyi.

Z powodu nieprzewidzianych przeszkód zewnętrznych w postaci bezrobocia zecerów Nr. 49 Ziemi wyjść w oznaczonym czasie nie mogli; dajemy go łącznie z Nr. 50, prosząc łaskawych czytelników o wybaczenie nam opóźnienia, zapobieżenie któremu nie leżało w naszej mocy.

TREŚĆ: M. Federowski—Zygmunt Gloger. (c. d.) Dr. Eugeniusz Romer—Kilka spostrzeżeń nad termiką wód Tatr i Podhala (c. d.). Antoni Gawiński—Krajobraz. M Federowski—Z galerii typów i oryginałów litewskich. T. Chrostowski—Z kolonii polskich w Paranie (z 7 ryc). Dr. Adr. Divéky—Z podróży Węgrów w Polsce (c. d.) Jan Jaroszyński — Wejście na Mont-Blanc (dok.) (z 3 ryc.). Dwory zamki i pałace 39. K. Kulwiec — Dwór w Czermnie (z 3 ryc.) Zapowiedź na rok 1912. Z Polskiego Tow. Kraj. Z żalobnej karty. Ze stowarzyszeń Z piśmiennictwa. Poza tekstem: Z naszych krajobrazów: 41. Z okolic Kowna. Typy ludowe: Feliks Zawiślak z Żurawia i Staś Olech z Gaju.

Winięty tytułową i ozdoby w tekście (motywy kujawskie) rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i drukał Ignacy Miazga.—Odbijał na maszynie Karol Rej — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec